

Do Czytelnika

Po wielkich rozterkach decyduję się opublikować tu niektóre „Impresje”. Większość zniszczyłem w płomieniach ogniska. Były zbyt intymne i krwście dosadne. Tata mój – Ignacy – aczkolwiek pięknie się wysławiał i był czytany, nigdy nie zasiadł, by spisać, co przeżył...

Może moje, spisane tu impresje, nadadzą się kiedyś, komuś, do czegoś, wszak to epoka: przełom dwóch stuleci, no i Europa, którą dziś zalewa Islam.

Nb. Prymitywy, jakby chcąc przetrwać, by żyć w nie-skończoności, ryją swą obecność na najstarszych zabytkach. To atawistyczna potrzeba w poczuciu nietrwałości naszego biologicznego życia.

...Wybaczmy im.

Spis treści

Starszy szeregowiec Zelnik. Rok 1968.
„O Poprawę” 1972-1978
Grupa C–M–M (Ciapało, Małkowski, Masznicz)
Galeria MDM 1978
1988. Moja Ameryka
Wystawa Demokratyczna 1981 – „Zachęta”
Arnold Ashkenazy 1989. Jestem w U.S.A.
Anglia 1969
Mój Wrocław 1946
Marzec '68
Geneza symfonii wizualnych
Własna postawa artystyczna (1992)
Obrazy dyplomowe
Ryzykowna decyzja
Debiut indywidualny
Pius – rok 1982
„Korzenie” 1949-1969
Dziś 8 czerwca 1994 roku
„O Poprawę” i Fałata o wylławianiu „na wędkę”
Zamiłowanie do muzyki
Pismaki
Niemiec i Niemcy
Dziwne
Powrót z Siedlec
Warszawska galeria „STUDIO”, a krakowska „Pi”
Naukowy tytuł
Skąd „Kopenhaga”
Donosy A i B
Życzenia

Starszy szeregowiec Zelnik. Rok 1968.

Wojo na studiach.

Oto niektórzy z nas, których zapamiętałem: szer. Bargiełowski, aktor; szer. Deutschgewandt, filozof; szer. Dwurnik, malarz; szer. Brzozowicz, aktor; szer. Ciapało, malarz; szer. Pastwa, rzeźbiarz; szer. Paciorkiewicz, muzyk; szer. Niesiołowski, muzyk; szer. Zelnik, aktor; a jeszcze Paweł Jocz, rzeźbiarz; Janusz Ducki, malarz i jeszcze paru innych, jak Witek Dębicki, aktor i wielu innych. Nasz pluton studentów wyższych szkół artystycznych Warszawy plus kilku studentów Wydziału Filozofii Uniwersytetu.

Oczywiście, tych zdolnych do służby wojskowej...

A. Michnik miał kategorię D, symulował schizofrenię.

– Starszy szeregowiec Zelnik!

– Jestem!

– Wystąp!

Łup, łup, łup, pach! Obywatelu majorze! Starszy szeregowiec Zelnik melduje się po zajęciach!

– Do szeregu, wstąp!

Łup, łup, łup, pach! buciorami... i jędrny śmiech kolegów z plutonu (po filmie „Faraon” Jerzy Zelnik był powszechnie znany i szczególnie wyróżniany przez dowódców wojskowych i uważany już za „Starszego”).

Kierownikiem Studium Wojskowego Uniwersytetu Warszawskiego (w barakach przy ul. Czerniakowskiej róg Szwoleżerów) był pułkownik Maksymilian Schnepf.

* * *

Na wakacyjny obóz po ukończeniu Studium Wojskowego UW rokrocznie plastycy, muzycy, aktorzy i filozofowie z UW zjeżdżali do Morąga na Mazurach. Jednak po Marcu '68 – w ramach przygotowania kadry do pracy K-O w wojsku, skoszarowano nas w Ośrodku Szkolenia Oficerów Politycznych w Łodzi.

Indoktrynacji nie było końca. Komunistyczną ewangelię i bolszewicki dekalog wpajała nam, podchorążym, doborowa kadra byłych szpiegów z rozmaitych placówek dyplomatycznych PRL, utytułowanych speców wywiadu i kontrwywiadu. Zwracano się do nas *per towarzysze*. Większość zajęć i wykładów miało charakter teoretyczny, pseudo-uczony, „naukowy”.

Takie kształcenie było znacznie ważniejsze niż w rutynowym szkoleniu: strzelanie, taktyka, czy musztra. Widząc jawną celowość naszego kształcenia, my wszyscy, studenci-podchorążowie, przygotowywani już do wojskowej przysięgi (znani ze sprytnego leserstwa ogólnowojskowego) na PIŚMIE złożyliśmy (promowane w komunizmie) „Zobowiązanie”, że: „Z okazji naszej przysięgi w dniu święta 22 Lipca wszyscy zdamy końcowe egzaminy z ocenami bardzo dobrymi”.

To zobowiązanie złożone na piśmie wszyscyśmy podpisali własnoręcznie! Nie było więc możliwe obłanie kogokolwiek, bo byłoby to złamanie naszego uroczystego zobowiązania! Z okazji 22-Lipca!

Od tej pory obijaliśmy się łamiąc dyscyplinę wojskową, upijaliśmy się, łaziliśmy porozpinani, w granatowych tenisówkach i z czapkami za pagonami, często z brodami, lub nie ogoleni, demoralizując pozostałych poborowych z czynnej służby, tudzież inne plutony.

A gdy któryś z oficerów krzyknął na placu „III pluton, zbiórka!”, wówczas chwytailiśmy za portfele – „a po ile?” i krążyła czapka pełna banknotów, aby nasz dowódca plutonu mógł w chlebaku przenieść przez ogrodzenie kilka półlitrówek najtańszej wódki...

To były skutki przygotowywania przyszłych politruków!

Przekroczywszy bramę Wojsko Polskie OSOP w Łodzi, zaszedłem do biura, by złożyć podanie do Dowódcy Ośrodka o pozwolenie noszenia brody, gdyż mam zaplanowany wyjazd za granicę, a w paszporcie jest zdjęcie z brodą. Aktorzy, także zarośnięci, tłumaczyli się rolami granymi w teatrach i telewizji.

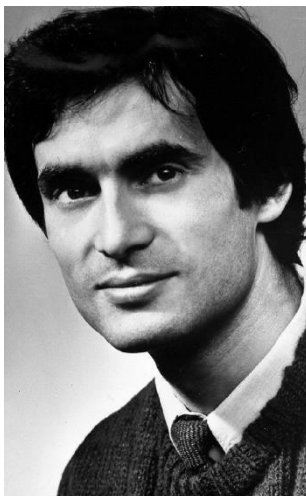
Do dziś wspominam salwy śmiechu także dowódców, gdy w przerwie, na placu, pulchniutki jeden z aktorów – w buciorach, rozciągając spodnie na boki rękami w kieszeniach jędnym basem, płasząc, zaśpiewał „ja jestem uroczą Hiszpanką, raz karo, raz kiery, raz pik”.

Panie w kantynie faworyzowały nas obsługując poza kolejnością! Rozluźniała się też dyscyplina w innych plutonach żołnierzy czynnej służby.

Poważne rozmowy po zajęciach zdarzały się rzadko. Jedynie Dwurnik uważał z całą stanowczością,

że: „socrealizm był bardzo dobry, z wielu zresztą względów. Artyści wiedzieli, co mają malować, a co dla niego było najważniejsze, to to, że otrzymywali godziwą zapłatę, a zamówione przez władze dzieła były popularyzowane, wystawiane w muzeach, reprodukowane i podlegały wymianie kulturalnej z krajami demoludu”. Ten krótki okres hossy socrealizmu porównywał do włoskiego renesansu ze względu na zamówienia tematyczne, a także bogaty mecenat.

Wolność twórcza demoralizowała artystę, a poprzez anarchię – pauperyzowała środowiska twórcze...No comment! To Edward. Taki był Dwurnik.



Jerzy Zelnik (1968)



w filmie "Faraon" (reż. J.Kawalerowicz)

„O Poprawę” 1972-1978

Gdy po półrocznym pobycie w Anglii, powróciłem do Warszawy pod koniec roku 1969, „kolorowo” wystrojony w czarne, drobne sztruksy „Levis”, czarną rockersówkę, czarne sztyblety, z blond włosami do ramion, spotkawszy mnie w Domu Artysty Plastyka, Genek Małkowski zaproponował mi wspólną pracę w jego pracowni na Szmulkach (Praga). Dziadowskie miejsce!

Jego entuzjazm, gdy zjednując mnie, przypominał nasze (moje i Sieragowskiego) wariactwa lat 50. naszego liceum plastycznego (byliśmy w jednej klasie), ruszył moje najczulsze struny melancholii i sentymentalizmu młodzieńczych lat beztroski; Wrocław.

To po latach, już w XXI wieku, w liście otwartym do redaktora miesięcznika „Sztuka” polemizując z „dziecinadą awangardowości” książki Andy Rotenberg pt. „Sztuka w Polsce 1945-2005”, przytacza Geno rozdział „Sztuka krytyczna” jako właśnie jego *deja vu* – o moich i Sieragowskiego „działaniach artystycznych” lat 50.

Podkreślając osobowość moją i Sieragowskiego oraz ten mój image już po studiach, Małkowski werbuje Witka Masznicza, z którym byliśmy w jednej klasie liceum i razem ukończyliśmy Wydział Malarstwa w warszawskiej ASP. Już po roku w tej pracowni na Pradze, po wielowątkowych dyskusjach i malowania tamże, urządzamy wspólną wystawę obrazów w trzech

następujących po sobie wystawach indywidualnych w klubie Medyka przy ulicy Oczki, już jako grupa – „Arka”. Jakoś wtedy nasze różne przeciwieś osobowości zrodziły koncepcję czy może ideę integracji pokolenia. Zebrawszy się w pełnym składzie grup Arka i Aut – w pracowni Janusza Petrykowskiego przy Pl. Wilsona (nad kinem Wisła) i gdy wiosną 1972 roku odczytuję swój tekst „O Poprawę”, uznajemy go za manifest programowy i kolegiennie wytypowano mnie na komisarza wspólnej (obu naszych grup) wystawy w Warszawie.

Umówiony telefonicznie idę na spotkanie z kierowniczką Galerii Sztuki Współczesnej na Starówce – daw. „Krzywe Koło” – starszą koleżanką Teresą Panasiuk i uzgadniamy termin wystawy na wrzesień. Pierwszej wystawy z cyklu „O Poprawę”. Kolegialnie zaprosiliśmy tu także E. Dwurnika, Jana Rylke oraz, bez dyplomu ASP, naszego kolegę z liceum Marcina Lipczyńskiego, a także czupurnego wówczas Jurrego Zielińskiego. Dobkowski nie brał udziału – przebywał na stypendium Fundacji Kościuszkowskiej w N.Y. Samowolnie, a lekkomyślnie, zaprosił Geno też Rafała Strenta, bo ten zna i rekomenduje młodszych Andrzejów: Bielawskiego i Bieńkowskiego. Korolkiewicz wówczas wzgardził!

Będąc już komisarzem pierwszej wystawy Ruchu, zwracam się do wszystkich redakcji zapraszając piszących o sztuce na konferencję prasową – przed wernisażem. Przybyło wielu recenzentów, historyków

sztuki i redaktorów naczelnych prasy; prawie cały skład osobowy redagujący (jedyne wówczas o sztuce) „Przegląd Artystyczny”.

Nasz manifest nie spotkał się ze zrozumieniem. Głosy młodych twórców wydały im się nadęte, bezpodstawnie, a po wystąpieniu Jurrego wszyscy poczuli się obrażeni i zbiorowo opuścili galerię.

W trakcie polemicznej rozmowy wypowiedział Jurry to zdanie, które powtórzył przy III wystawie „O Poprawę” w Galerii STUDIO w Pałacu Kultury i Nauki, że „to dziecinada – obrażanie się zamiast ostrej, bezpardonowo argumentowanej dyskusji”, o naprawie. Obszerny materiał dotyczący całej aktywności (krajowej i zagranicznej) Ruchu 1972-78 (katalogi, plakaty, publikacje prasowe, fotografie dokumentalne oraz slajdy mojego autorstwa osobiście przekazałem Instytutowi Sztuki PAN oraz Działowi Dokumentacji Narodowej Galerii „Zachęta”).

Szczegółowe relacje z kolejnych wystaw zamieściłem na You Tube w formie trzech etiud filmowych: a) cztery wystawy krajowe; b) wystawa w Kopenhadze; c) cztery wystawy we Francji (Nevers, Reims, Blois i Grasse).

Na kulisy mojej aktywności w Ruchu „O Poprawę” spuszczam zasłonę miłosierdzia, albowiem nie znajdowaliśmy z Geno Małkowskim wsparcia kolegów, gdyśmy pisali i wygłaszali nasze oczekiwania poprawy w zakresie promowania i wszelkiego wspierania, polskiej przeciw twórczości. Innej niż gdzie indziej.

Oryginalnej.

Witold Masznicz, po wielu atakach na nas, wyłączył się z aktywności i tonął w alkoholizmie winiarni „U Hopfera”, a następnie w głębokiej halucynozie popadł w schizofrenię, by osamotniony umrzeć w zakładzie dla nerwowo chorych w 2020 roku. Także zdradzieckie zachowanie Dwurnika, gdy publicznie: „odcina się od Ruchu „O Poprawę”, gdyż nam – trzem głównym animatorom – zależy na osobistych karierach, a on chce tylko malować”. Uzyskał poklask, pieniądze i sławę...

Pracuş. Zrobił gigantyczną karierę!

Jeszcześmy z Genem nie zdążyli powrócić po sukcesach festiwalowej wystawy we Francji (Grasse k. Cannes), i zanim zdaliśmy publiczną relację w sali kinowej „Zachęty”, jakoś wiosną, pięcioro biernych w Ruchu zorganizowało (przez historyka sztuki Kingę Kawalerowicz) wystawę pt. „Śmietanka” (Kuryluk, Ciecierski, Bielawski, Bieńkowski, Korolkiewicz wraz z dokooptowanym dla okrasz Dobkowskim, jakby dla przydania sobie – jego blasku...).

Wyodrębniają się, by umniejszyć pozostałym w Ruchu. Kinga jest córką wysoko postawionego, partyjnego, reżysera filmowego Jerzego.

Po wielu latach to red. Anita Gargas uzmysłowiła nam – to „resortowe dzieci”...

* * *

Czterokrotnie przebywając z Geno Małkowskim we Francji dla urządzania naszych specjalnych ekspozycji wystaw Ruchu – „spektakli wizualnych” we wnętrzach galerii w Nevers, Reims, Blois i Grasse (za pośrednictwem pana Ryszarda Bobrowskiego z Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej) trzykrotnie spotykamy się z panem Zadora, który jest wicedyrektorem Centre Pompidou w Paryżu. Pada propozycja wymiany ze zbliżonymi z nami artystami francuskimi (Claude Viallat, Louis Cane, Olivier Mosset i uroczą, jak nasza Lidia Serafin, malarką Elisabeth Mercier i in.).

Nasz Ruch „O Poprawę” w paryskim Centre Pompidou, francuska grupa w warszawskiej „Zachęcie”...

Zaproszenie ma przyjść zaadresowane do ZPAP. Jan Karczewski – nowo wybrany prezes Okręgu Warszawskiego (w ścisłym prezydium zasiadam i ja) – otrzymawszy zaproszenie, udaje się – w tajemnicy przede mną – do Ministerstwa Kultury. W miejsce wystawy „O Poprawę” ministerstwo „wciska” wystawę autorstwa Ryszarda Stanisławskiego (ówczesnego dyrektora Muzeum Sztuki w Łodzi), o którą to wystawę zabiegał on w ministerstwie od lat!

Pokaz w Paryżu prac muzealnych według Stanisławskiego spotkał się z nieprzychylną oceną w Centre Pompidou i we francuskich mediach – zamyka to drogę polskiej sztuce tamże. Na długie lata...

Nieprawdopodobnym jest, że wówczas Jan Karczewski zasugerowany pogłoskami o rozpadzie Ruchu „O Poprawę”, po akcji Dwurnika i grupy „Śmietanka”, ulega presji naszych przeciwników i – ukrywając fakt zaproszenia przed Zarządem Okręgu – wyjeżdża do Paryża legalizując podmiannę! Trudno dać wiarę, że prezes oddając inicjatywę uczynił to, by przypodobać się Ministerstwu. Dla korzyści?

Niebawem, pewnie w poczuciu winy, typuje moją osobę do odznaczenia Srebrnym Krzyżem Zasługi, a gdy otrzymuje z Ministerstwa pulę talonów na małego Fiata, talonem na zakup Fiacika obdarowuje i mnie!

Narastające w całym kraju niezadowolenie, bunt narodu i strajki robotników zakładów pracy rodzi 10. milionową „Solidarność”, która ośmielona wyborem naszego papieża nasila aktywność, co po „wybraniu” Jaruzelskiego na I Sekretarza PZPR skutkuje „stanem wojennym” (13 grudnia 1981 roku).

Stan wojenny Jaruzelskiego rozwiązuje stowarzyszenia twórcze, w tym także i Związek Polskich Artystów Plastyków, nacjonalizując biura i siedziby w całej Polsce, a rozbity Ruch „O Poprawę” przestaje istnieć w naszych umysłach tym bardziej, że sfrustrowany Geno Małkowski tę naszą, wspólną, społeczną aktywność (trochę jak Bolek), jej inicjatywy i sukcesy zaczął przypisywać wyłącznie swojej osobie.

Grupa C–M–M (Ciapało, Małkowski, Masznicz)

Jako grupa twórcza zaistnieliśmy na wspólnej wystawie w świetnie prowadzonym wówczas przez doktora Mossakowskiego Klubie Medyka przy ulicy Oczki. Zanim zdążyliśmy to formalnie zalegalizować w biurze wybudowanego przez prezesa Andrzeja Janotę Domu Artysty Plastyka przy ul. Mazowieckiej 11A w Warszawie (wynikły z tego powodu afery środowiskowe przeciwko Janocie), po istniejących już formacjach znanych jako Arsenał 55, grupy „Rekonsans” z Andrzejem Możejko, Lechem Okołowem, Juliuszem Narzyńskim, Barbarą Szubińską, Wiesławem Kruczkowskim i Olą Jachtomą). Istniała już grupa rówieśników: Dobkowski-Zieliński znana jako Neo Neo Neo, grupa „Realistów” z Bronisławą Wilimowską, Włodzimierzem Zakrzewskim, z socrealistami: Krajewskimi, Młynarskimi, Kaczmarskimi, krakowska nowofiguracyjna grupa WPROST (Sobocki, Grzywacz, Waltoś, Bieniasz oraz bezprogramowa – „pod dyktando” T. Kantora grupa „Krakowska”, czy inne, np. „Grupa Wrocławska”.

Jakoś równolegle, gdyśmy debiutowali jako grupa „Ciapało, Małkowski, Masznicz” w Medyku trzema następującymi po sobie wystawami indywidualnymi, zrodziła się grupa „Aut” (Sławomir Blatton, Antoni Fałat, Lidia Serafin, Janusz Petrykowski, z Bułgarem Mitko Petrovem i Tadeuszem Baranowskim – naszymi kolegami z roku. Zaraz potem powstaje grupa „R-S-D”

z Janem Ryłke, Januszem Duckim, Edwardem Wasilewskim i późniejszym zakonnikiem Adamem Kozłowskim. Pojawia się też – kończący studia rok później – Edward Dwurnik, także nasz kolega z jednego roku. (Jeden rok studiował na Rzeźbie).

Aktywność twórcza i operatywność wystawieni-
nicza tworzy niezwykle ożywioną atmosferę
koleżeńskiej rywalizacji(?). Wernisaże tych warszaw-
skich ugrupowań zapępiały ogromne liczby
zaangażowanej publiczności – sale wystawowe
dosłownie „pękały w szwach”. Gorąca atmosfera
udzielała się Warszawianom, tworząc życie artystyczne
godne europejskiej metropolii. Były to także lata
wielkich sukcesów grup polskiego „big-beatu”. Także
piosenki. Niemen, Grechuta, Demarczyk.

Niedługo po naszych artystycznych debiutach
Gomułkę „detronizuje” Edward Gierek, którego ruch
tektoniczny śląskich górników wywindował na I Sekre-
tarza KC PZPR. Następują gigantyczne zmiany na
stanowiskach partyjnych oraz państwowych. Nowi
„właściciele” Polski Ludowej pragnęli zjednać sobie
sympatię środowisk twórczych. Znalazły się środki na
rozmaite pozory – substytuty wolności. Cały Naród
odbudowuje Zamek Królewski (z moim, skromniutkim
wówczas udziałem), buduje się Trasę Łazienkowską,
powstaje wielkie rondo na skrzyżowaniu Al. Jerozo-
limskie – Marszałkowska oraz autostrada do Katowic
i Dworzec Centralny PKP.

W świeżo wznoszonych, surowych jeszcze, murach Zamku Królewskiego urządzono wystawę najnowszych prac wspaniałego Władysława Hasiora (czyj to był pomysł?) jakby dowieść, że „idzie nowe”. Kupiono też licencję na małego Fiata 600 i 125p.

Tymi zmianami starano się zmiękczyć wrogie nastawienie narodu do partii po wydarzeniach „Marca 68”. Poluzowano też warunki wyjazdów zagranicznych „na zachód”, które w czasach Gomułki były dla nielicznych i sporadyczne, a przed 56 rokiem – niemożliwe!

Prawem osmozy europeizował się kraj, a licencja Fiata rozpoczęła w Polsce masową motoryzację! Popularnym stało się zdobywanie prawa jazdy nawet... bez posiadania auta!, którego cena dla tych wybrańców, którzy otrzymali talon na malucha wynosiła 69 tysięcy złotych, tj. ok. 50-ciu przeciętnej miesięcznej pensji!

Wyjeżdżają też artyści indywidualnie i wielkie zespoły. Potwierdza się ich klasa artystyczna. „Polak potrafi” – to slogan rzeczywiście przystający do stanu polskiej nauki i sztuki. I to potrafi oryginalnie, z fantazją.

Finansowe „zastrzyki” otrzymywane z Zachodu w formie pożyczek pomagają propagandzie sukcesu. Nie na rękę to jednak intelektualnym elitom wiernym radzieckim hasłom internacjonalizmu komunistycznego. A ich latorośl, która w tych latach kończy studia, a lgnie do nas – bo jest Ruch i coś się dzieje – niechętnie używa określenia „sztuka polska” i twierdzi,

że winniśmy określać „sztuka w Polsce”. Większość z nich (choć w istocie są mniejszością), jak się później okazało, miało z góry zagwarantowaną elitarną przyszłość dzięki służalczości ich tatusiów wobec władzy ludowej. To im się należy pierwszeństwo wszędzie i patent na sukces. Wszelka aktywność nas, pracowitych, a uzdolnionych, ma być siłą pociągową dla ich kariery. Pierwszeństwa do wystaw, publikacji, stypendiów, do programów RTV, zakupów do muzeów, a nawet do pracy na uczelniach.

W takich oto okolicznościach stworzyliśmy w 1972 roku Ruch Artystyczny „O Poprawę”. Stworzyliśmy ten Ruch z przyjaciółmi, bowiem całą formacją łatwiej przecież będzie przebijać się poszczególnym indywidualnościom. Łączenie indywidualności i ugrupowań w pokoleniową falangę zainicjowaliśmy po doświadczeniach naszych grup „Arka” i „Aut”. Sami bowiem, będąc tak odmiennymi osobowościami, nie chcieliśmy i nie mogliśmy stworzyć wspólnej sformalizowanej grupy o jednorodnym programie artystycznym. Dlatego też, my właśnie, jako grupa CMM, urządzaliśmy oddzielne trzy ekspozycje w trzech tylko wspólnych wystawach...

Ostatnia wystawa, jaką urządziliśmy w dużej związkowej wówczas galerii MDM (ul. Marszałkowska 34/50 na I piętrze) ściągnęła nadspodziewanie wielką publiczność, zapewne na skutek wielu recenzji, wzmianek i publikacji.

Popis prostackiego ataku na trzy nasze osoby oraz zaprezentowane tam nasze prace, zademonstrował w paxowskim, kolorowym magazynie „Myśl Społeczna”, redaktor Radosław Piszczyk. Pan redaktor „od sztuki” wymową opisu i zamieszczonymi reprodukcjami prac starał się ściągnąć na nasze osoby partyjno-państwowo-kościelną anatemę. Swoje unikalne formy nagonki w obszarze sztuki poparł dodatkowo wybranymi (wulgarnymi a negatywnymi) wpisami do księgi pamiątkowej galerii. Oraz apelem do ministra kultury o ograniczenie możliwości takich wystaw w celu „ochrony” porządnej, ciężko pracującej, części katolickiego społeczeństwa komunistycznego (czyt. Pracującego Ludu), której to części okazujemy pogardę miast wzruszać pięknem socjalistycznej codzienności.

Poprzekręcał też tytuły pod reprodukcjami.

Inny „oryginalny” znawca sztuki, redaktor Expressu Wieczornego, jakby w polemice z naszymi publicznymi wypowiedziami zawarł myśl swoją zaiste unikalną: „bo takie będzie ich (plastyków) gdakanie, jakie będzie nasze (krytyków artystycznych) krakanie”. Znaczyć to miało, że on (art-krytyk) jest kreatorem, a twórca – wykonawcą!!! Sic!

Taka kosmopolityczna, zakompleksiona, rodzima krytyka artystyczna obnażyła swoje oblicze w kolejnych recenzjach – w tygodniku „Kultura”. O wystawie francuskiego malarza Pignon’a w galerii „Zachęta” pisze, że już idąc po schodach wie, że spotka się

z wielką sztuką francuską! A w wakacyjnym numerze relacjonuje, że jadąc na Festiwal Sztuk Plastycznych „Porównania” w Sopocie już wie, że spotka miałość i bezproblemową wtórność...

Jakże to antypolska postawa – na sztukę francuską idzie ze zgiętymi kolanami. Natomiast jadąc – delegowany! – do Sopotu spotka bezwartościowość. To Wojciech Skrodzki. Skąd polski krytyk dowiedział się o wielkości sztuki np. francuskiej?

Od krytyka francuskiego.

– A skąd dowie się krytyk francuski o sztuce polskiej? Od krytyka polskiego! CZEGO SIĘ DOWIE?

Inaczej, bo merytorycznie pisywali tam PP. Gutowscy.

Zupełnie odmienną osobą pośród warszawskich reporterów sztuki – codziennych recenzentów – była redaktor Halina Grubert (Express Wieczorny).

Gdy my debiutowaliśmy, ona była już starszą panią niezwykle zainteresowaną nowościami, wielokrotnie odwiedzała warszawskich twórców w ich pracowniach i pisała sprawozdania przybliżając sztukę czytelnikom Expressu. Z czasem jednak, jako już mocno starsza pani, myliła osoby i miejsca, ale zawsze starała się popularyzować sztukę współczesną. Dziś nie pamiętam, czy w czasie wizyty u mnie powiedziała, czy może to napisała, że „dobry artysta – marna pracownia i że jest też odwrotnie”. Natomiast wystawę grupy „Śmietanka” określiła jako „niskoprocentową”.

Rozczarowanie natomiast sprawił nam Wojciech Krauze, który zrazu naprzemiennie z Ignacym Witzem

publikował swoje recenzje w Życiu Warszawy. Po śmierci Witza był etatowym recenzentem wystaw na terenie Warszawy. Był zachowawczy, pisał o dobrze znanych i uznanych, dawno opisanych – pozytywnie. Błysnął nam, gdy recenzując debiut rzeźbiarski Adama Myjaka, pisał o załączku wielkiej twórczości i trwałej kariery młodego rzeźbiarza.

Pokładane bowiem w panu Krauze nadzieje podsycały nam w kawiarni Domu Artysty Plastyka dwie młode wówczas historyczki sztuki – Maria Domurat i Joanna Krzymuska, obie pracujące w Zachęcie: że Krauze jest młody, w naszym wieku i że nas rozumiejąc będzie nas wspierał i pomagał. Jednak (pewnikiem), gdy powtórzyły mu ripostę Witka Masznicza, że „jakby istotnie chciał pomóc naszej sztuce, to by wpadł do jego pracowni i mu piłę naostrzył” (z placu Trzech Krzyży widoczna była na ul. Hożej znana firma: „Krauze – ostrzenie golarek”).

Obrażony, po latach, bardzo pozytywnie napisał o XXXV Wystawie Okręgowej ZPAP w 1981 roku w warszawskiej „Zachęcie”, ale nawet nie wspomniał mojej skromnej osoby – inicjatora wystawy, autora scenariusza, funkcji komisarza i współautora z Geno Małkowskim aranżacji karkołomnej ekspozycji, blisko trzech tysięcy prac około 800 warszawskich artystów...

Galeria MDM 1978.

Jest rok 1978. Zdawało się, że oto wreszcie nadszedł dla mnie „mój czas”...

Po premierowej wystawie „Pory Roku” w Galerii STUDIO w Pałacu Kultury i Nauki, gdy nieoczekiwanie Andrzej Ekwiński objął stanowisko kierownika i 4-go maja zamyka wystawę – gorycz mojej porażki sięga poziomu dna! (O premierowej wystawie „Pór Roku” będzie osobna impresja, bo to był 1975 rok).

Nie wyrzucam sobie, że nie chcę czy nie umiem zabiegać o przyjaźń krytyków. Taki już jestem i gardzę lizusostwem, czułem się po prostu „dobrym”. Uważałem, że to oni nie nadążają za mną.

Po sukcesach Ruchu „O Poprawę” we Francji w 1977 roku (wiosną w Nevers i jesienią w Reims) zapowiadał mi się w kraju udany nowy rok 1978.

Pan Staszek, młodziutki kierownik SBWA, Galerii MDM zaprosił mnie do wystawy (w moim sąsiedztwie) na MDM-ie. Wystawy „totalnej”. Pracownię miałem z telefonem przy Pl. Konstytucji, zaprosiłem więc pana Staszka oraz dyrektora SBWA pana Andrzeja Kossakowskiego. Zapowiedzieli się telefonicznie i o umówionej godzinie, z pączkami, zjawili się obaj.

Rozmawialiśmy ze trzy godziny. Teraz, gdy to spisuję w 1994 roku, Ewelina opowiedziała, że jakoś niedawno, z wielkim trudem odratowano p. Staszka tonącego w Sekwanie w Paryżu. Nie były mi znane losy ani motywy jego emigracji, ani samobójstwa...

(Ewelina była kierownikiem drugiej galerii SBWA – Galerii Rzeźby, przy ulicy Marchlewskiego (dawna pracownia X. Dunikowskiego).

Spodobał mi się neologizm „wystawa totalna”. Dyrekcja i kierownictwo Galerii MDM zaakceptowało premierowy pokaz nowej realizacji – strukturalnej kompozycji „Moje Erotyczne Oratorium Kosmiczne” z 1975 roku oraz niejako w tle wiele obrazów figuratywnych małego formatu z cyklu „Modne modelki” 1971-73.

„Bezinteresowna życzliwość” donosicieli wywołuje poważne zainteresowanie cenzury. Po zaaranżowaniu całości ekspozycji, tuż przed wernisażem, do Galerii MDM wkraczają cenzorzy w kolegalnym składzie i nakazują usunięcie wskazanych obrazów. Ogołocili wystawę z 27 obrazów (tych wczesnych). Kiedy w tej (mojej) sprawie interweniował na Mysiej (Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk) ówczesny prezes OW ZPAP Jan Karczewski, powtórzył mi później, co usłyszał od prezesa cenzorów – „27 obrazów zdjętych z indywidualnej wystawy to rekord Polski! Powinienem być z tego dumny, gdyż po czasie przysporzy mi to sławy; Urząd zaś musi stać na straży chrześcijańskiej moralności socjalistycznego społeczeństwa”.

Jan Karczewski będąc prezesem Okręgu ZPAP zasiadał w Komitecie Warszawskim PZPR przy ulicy Chopina i tylko sobie znanymi kanałami dotarł do „boga cenzorów”, a cały kontekst rozmowy przytoczył mi ze swoistym, luzackim humorem.

Kolorowe zdjęcie „Oratorium” na okładce i inne foty cenzura usunęła z katalogu, pozostawiając literacki opis. Podczas mojej wizyty na Mysiej, pan Głuszkowski zgodził się na umieszczenie tylko planu graficznego symfonii „Pory Roku” oraz wykonany przeze mnie na jego biurku, jego markerem mój szkic „Oratorium” nadając tytuł katalogowi „Wystawa indywidualna Nr 7”.

Redaktor Magda Maciejewska

Odbieram telefon. Redaktorka „Trójki” Magda Maciejewska: „Ależ to genialne obrazy, ich muzyczność aż słyszeć” i zaprasza mnie do nagrania dla Trójki rozmowy do marcowej audycji. Zaśpiewa Magda Umer, będzie rozmowa z młodym dyrygentem Jackiem Kasprzykiem, oraz z warszawskim scenografem – nazwiska nie pamiętam.

Pani Magda nie ma w domu telefonu, dzwoni więc z radia, że audycja będzie w poranku niedzielny. Nastawiam radio z magnetofonem – rozmowy ze mną NIE MA! A przecież pani red. Maciejewska będąc u mnie nagrała ponad 45 minut rozmowy i fragmenty mojej wypowiedzi o „Oratorium”, o jego skali, strukturze i kolorystyce w barwach spektrum, porównywanym do muzycznej gamy C-dur.

Wracając jednak do wystawy... po wernisażu (tłumnym a hucznym!) Janek Rylke zaprosił mnie i młodą małżonkę (w „drodze z córeczką”) do siebie, do domu przy ul. Włociańskiej. Rozbierała mnie grypa(?), lecz Alka Prim i Calcium podane przez Hanię pomogły.

Podziwiałem młodą rodzinę uczonych: Hanię – dr psychologii i Jana – doktoryzującego się na SGGW, oraz ich Alka. Mógł mieć wtedy ok. 6 lat, a córeczka Marysienka 4 lub 5 miesięcy.

Rylke robi nam czarno-białe portretowe foty, kadr amerykański, z których potem wykona nam w indygo dwa portrety – akryl na płótnach. On zaś wybierze jeden z moich obrazów w ramach przyjacielskiej wymiany.

Telefonuje Pani Magda Maciejewska, że z radością odwiedzi mnie w pracowni, by poznać naszą już narodzoną córeczkę i opowiedzieć, co się wydarzyło w Trójce. Na tym telefonie znajomość się kończy – nigdy już się nie spotkamy...

Jestem bez pamięci zaangażowany w wystawy naszego Ruchu we Francji. Wiosną w Blois, latem na Międzynarodowym Festiwalu w Grasse k. Cannes. Robię slajdy, nagrywam magnetofonem.

Wystawa „O Poprawę” w Blois ma miejsce w cudnym zamku nad Loarą; jest prasa, telewizja i echa w Polsce.

W Grass natomiast na Internationale Festival „Rithma 78”, przy Boulevard d’Anglese, obok wielu innych prezentacji, nasza jest jedyną wystawą, której wernisaż oficjalnie otwiera dni festiwalu w stolicy francuskich róż i perfum. Ja i Geno Małkowski jesteśmy goszczeni na obiedzie w jasnoróżowym zamku na wysokiej nadmorskiej skarpie z elitą regionu, na czele ze znanym monsieur Moreau. Bliżej poznajemy pp.

Coarouchet, pp. Krakowiak – prezydenta Asossiation France-Pologne z Paryża.

Po oficjalnych uroczystościach przyjaźnimy się z PP. Baran (on jest po warszawskiej ASP, ona jest architektem); stary Citroen, tuzin kotów i świetne papierowe „instalacje”. Delikatne, jak mimoza, która tu właśnie rośnie i pachnie wieczorami, gdy kwitnie w maju, jak róże, lawenda oraz wielgachne agawy o kwiatach, jak słupy telegraficzne...

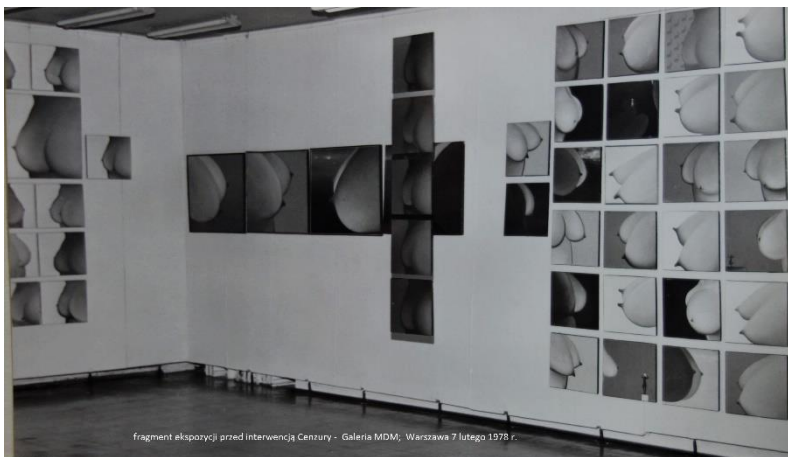
Monsieur Zadora

„Nie urządzę pana wystawy indywidualnej, ale możliwe, że zrobimy wystawę waszej formacji w drodze wymiany z paryską grupą z Claudem Viallet'em na czele, jako formacji pokrewnej, głównie malarzy” – powiedział monsieur Stanislas Zadora, wicedyrektor za dyrekcji Szweda – Pontusa Houltena w Centre Pompidou w Paryżu. I wręcza nam katalog ich ostatniej wystawy.

Później pan Zadora będąc w Warszawie, nie zastaje mnie w pracowni... zostawia kartkę w drzwiach, że jest pod telefonem u mamy w Warszawie. Do tego spotkania, ani do zaplanowanej wystawy w Centre Pompidou nigdy nie doszło.

„Życzliwi” aktywiści „pomogli” rozsiewając plotki, pomówienia i insynuacje dotyczące Małkowskiego i mojej osoby. O tym – w innej impresji.

Podczas trwania wystawy na MDM-ie odbieram telefon, tak jakoś pod koniec pokazu. A tu: Jadzia Knapik, moja kuzynka studiująca germanistykę na UW. Jest mocno zbulwersowana; taki wstyd! Wszyscy na roku wiedzą, że idzie na wystawę obrazów kuzyna, Czesława Piusa, na MDM-ie. Idzie, a tu kompromitacja i taki w s t y d ! Nie zatelefonuje już do mnie... taki wstyd!



1988-89. Moja Ameryka.

W przerwie obrad Senatu uczelni podchodzi do mnie pan rektor Foryś i wzięwszy mnie pod rękę, prowadząc korytarzem zapytał:

– Panie docencie, czy pojechałby Pan na rok do USA w ramach wymiany ze stanowym uniwersytetem w Charleston?

– Nie jestem docentem, tylko starszym wykładowcą...

– Właśnie pan jest; leży u mnie na biurku pismo z ministerstwa o zatwierdzeniu pana przewodu habilitacyjnego w Gdańsku.

– Z radością, bardzo dziękuję, ale zapytam o zgodę rodziny i na rok?

– Otrzyma pan tam uzgodnioną gażę *visiting professor*, my zaś, jako uczelnia, wpłacać będziemy na pana konto należną pensję, a tu przyjedzie rzeźbiarz -Brent Collins.

* * *

Mając dwoje dzieci w wieku szkolnym, gdy małżonka zaakceptowała mój staż naukowo-dydaktyczny, a dzieci poparły wyjazd – tak oto 15 września 1988 r. wylądowałem w Chicago (O'Hare), stamtąd awionetką do Mattoon, skąd klimatyzowanym Buick'iem dwaj profesorowie z Art Department zainstalowali mnie w kawalerce University Apartment. Pełny komfort. Klimatyzacja, radio, TV, łazienka, mini living room z aneksem kuchennym. Kuchenka gazowa

z piekarnikiem, mikrofalówka, telefon. Na stole bukiet kwiatów i patera z owocami.

* * *

Uniwersytet kształcił 15 tys. studentów. Olbrzymi campus z nowoczesną infrastrukturą, kompleks sportowo-rekreacyjny, stadion z boiskiem do US footballu, tartanowymi bieżniami i skoczniami lekkoatletycznymi, boiskami do soccer (piłka nożna), pola: golfowe, do gry w polo i baseball, liczne korty tenisowe i boiska do koszykówki. Tu także gigantyczna hala sportowa z trybunami oraz kilka basenów z czystciutkimi szatniami. Bardzo pozytywne wrażenie! Zda się, że mają tu wszystko. Wspaniała, bardzo dobrze wyposażona biblioteka; duża czytelnia ze stolikami komputerowymi, książki i różne wydawnictwa w oryginale i mikrofilmy, także ze starodrukami światowymi...

Przyległe Audiovisual Centre; płyty gramofonowe, kasety audio i video-filmy. Zaskakujące było, prowadzone przez Art Department, Tarble Art Center. Nowoczesny, żelbetonowy pawilon przystosowany do wystaw i spektakli. Pełniący drugą kadencję Chairmana Art Dpt. rzeźbiarz Jim Johnson oprowadził mnie po wszystkich pawilonach i pracowniach wydziału i zaprosił na listopadowe zebranie – Radę Wydziału.

Od tej pory, po przydzieleniu mi Nr 69 University Apartment oraz dodatkowo całego parteru „willi” na pracownię twórczą dla własnego rozwoju, a także

czterech ramiaków-blejtramów 210x180 cm... dla wydziału przestałem istnieć.

Jedynie jako mój „responsible” (odpowiedzialny za mnie) artysta malarz Allan Richard MOLDROSKI (Dick), autem Nissan – i telefonicznie – służył mi radą, informacją i pomocą każdego dnia – w dzień i w nocy. Wydobyl dla mnie z jakiegoś pomieszczenia damski rower z 3-biegową przerzutką i dużymi bagażnikami do samodzielnych zakupów i jazdy „krajoznawczej” po kampusie i okolicy. Uradowałem się niezwykle tym cudakiem z lat 50-tych – od młodości byłem entuzjastą roweru (n.b. Pan Rektor wspominał właśnie o rowerze dającym niezależność mobilną, oszczędną i rekreacyjną – wszak wszystko tu kosztuje... w dolarach).

* * *

Któregoś z pierwszych dni pobytu odezwał się telefon, a basujący miły głos supermana zaproponował, że podjedzie po mnie, aby załatwić sprawy bankowe – „at eleven. Be ready.”

Więc *at eleven*, pod krawatem dopijałem Neskę, z paszportem w kieszonce białej koszuli i wiśniowych butach, gdy oto otworzyłem drzwi – na progu stał... Lenard. Olbrzym, tęgawy ok. 60-tki i pięknym „middle west” zachęcił, bym spoko dopił kawę. A gdy sączył podany z lodem sok pomarańczowy oświadczył, że mamy dużo czasu, aby załatwić sprawy przed lunchem, bo bank jest w Charleston, a więc niedaleko.

Pogawędziliśmy chwilę; jest doktorem zootechniki, ichtiologiem. Był z żoną w siedleckiej uczelni, na Wydziale Rolniczym. Poznał naszych profesorów – Prószyńskiego (od pajaków, „spidermana”), Barbarę Jezierską (też od ryb), prof. Węgrzyna, St. Kalembasę i wielu innych: Forysia, Jówko, Trętowskiego – chemików i rolników. Pamięta Polskę, Siedlce i Warszawę, a także Kraków i Wydział Rolniczy w Olsztynie. Wiele miast w Polsce. Europę oswobadzał w 45 roku, gdy wiosną lądował z armią aliantów w Normandii.

Do Community Bank podjechaliśmy na parking od tyłu. Barak w brunatnym kolorze tchnął chłodem klimatyzacji i pachniało, jak wspominać z dzieciństwa, dolarami. Lenard, po części oficjalnej i *friendly* rozmowie u dyrektora banku, przywiózł mnie z wydrukowaną imiennie, moją książeczką czekową, do siebie, do domu.

Dom państwa Durham postawiony pośród drzew *złotej polskiej jesieni* był drewnianą, płaską willą z pięterkiem i kilkoma tam sypialniami. Przylegały do niego dwa garaże, automatycznie otwierane. Na tyłach domu rozciągał się ogród zamieszkały przez rozmaite głośnie ptactwo z purpurowymi „kardynałami”. I tak śpiewały „naoliwionymi” gardłami, że gdy cała ulica Wilcza (gdzie mieszkamy w Warszawie) już dawno śpi – te drąć się, pobudzą mi dzieci!

Okolo 20-metrowy basen z mini trampoliną zapewniał dostatek i luksus latem. Salon z biblioteką i jadalnią przy kuchni, na parterze (first floor), dwoma

sypialniami na pięterku oraz pralni i rozległym living roomem i salą TV w basement (suterenie). Wszystko w dywanach, głównie beż o zróżnicowanych fakturach ułożonych na gąbkach, aż stopy zapadają się, jak w leśnym mchu i zaczyna boleć kręgosłup.

Okolo 13-tej wraca z zajęć Olga. Jest pewnie znacznie młodszą od Lenarda małżonką. Postawna, jak Lenard, jest matką czworga dorosłych dzieci. Trzech synów Durhamów – olbrzymów i piękności Lynn, o mokrych loczkach, błękitnych oczkach i szczerzących do mnie bielutkich zębach z technik-kolor fotografii, a obok fotka pani domu w niewielkim wianuszkę wnucząt promienieje miłością i dobrem zasobnej amerykańskiej rodziny.

Olga – to ona szczególnie mnie lubi i ceni ze względu na moją twórczość (zapoznała się, zanim przybyłem do USA, z mojego portfolio w Art Dpt.).

Lenard podaje whisky, koniecznie scotch; Bourbon go uczula... prezentuje gabloty z setkami indiańskich strzał, grotów metalowych i krzemiennych. To archeologiczne znaleziska, gdy osadzali dom na fundamentach i z wykopu pod basen. Prezentowana na ścianach kolekcja prac malarskich Olgi z różnych okresów jej życia ujawnia mi osobowość nader wrażliwą, z feelingiem, bez zbytniej wierności naturze, oddającej raczej stan jej ducha niż real. Prace niewielkich formatów ujawniają mi jej życie wewnętrzne tak bogate, że musiało ono na widza hojnie tryskać emocjonalizmem i szczerością wypowiedzi.

Malowane technikami wodnymi (akwarela z gwaszem lub acrylic) i prace olejne. Sadzę, że gdyby ukierunkować jej postawę na śmielsze podejście do natury dopuszczając jej własną interpretację zjawiska w kadrze, byłaby profesjonalistką. Olga była dzieckiem Ukraińców przybyłych do Stanów w XIX wieku „za chlebem”, jak nasi, „sienkiewiczowscy” emigranci.

Na lunch Olga przygotowała *polski poczęstunek* – gulasz wołowy z kluseczkami (jak kopytka), sałatę i herbatę (Earlgrey) z ciasteczkiem. Lody.

Zaprzyjaźniliśmy się. Wkrótce Dick Moldroski z Nikki, Johnsonowie i Durhamowie byli u mnie na obiedzie, a potem wiele razy spotykaliśmy się, a to kolejno ja u nich (lub w różnych lokalach, na mieście) lub oni – parami – u mnie. Nie było weekendu bez jakiejś okazji. Głównie jednak w ich nieodległym Country Club. A krąg znajomych z czasem znacznie się powiększał.

Zupełnie wyjątkowym faktem w amerykańskim zwyczaju było dla mnie poznanie i wspólny obiad u rodziców Dicka Moldroskiego. Jego ojciec, urodzony już w Ameryce, był opisany w gazetach, jako Heros! Podczas burzy wyratował kilku rybaków tonących w wielkim, jak ocean, jeziorze Michigan. Dziś staruszek, jednoręki zapaleniec – niestrudzony myśliwy! Mam z nimi foty; otrzymałem 4steki...z sarny.

* * *

Styczeń 1989 roku... przydzielono mi zajęcia dydaktyczne oraz konsultacje na dyplomowym roku malarstwa.

We własnej pracowni właśnie (przy Lincoln Ave) od wielu tygodni metodą kombinatoryki (matematyka) komponuję miniatury „Con Variazione” – serię kompozycji strukturalnych 7 obrazów (olej, złocenia) na płótnach 40x35 cm każdy. Każdego więc dnia przygotowawszy kolejną serię zagruntowanych 7 płócien lnianych, położywszy rano mixtion 12-godzinny, około 2.00 w nocy, złocę zakupionym w Chicago szlakmetałem w płatkach (nieoceniony, jak zawsze Jan Czarniecki).

Miniatury „Con Variazione” to złotozielone obrazy, po 7 w każdej strukturze (jako jeden utwór). To seria kompozycji powstałych w związku z symfonią Nr 3 (Zieloną 1976-78). W Ameryce każdy wie czym jest złoto, a *zielone* (greens) to dolary, zaś „7” to *lucky*. Każdego więc ranka mogłem przystąpić do malowania w rozmaitych odcieniach zieleni na gotowym już, złotym tle!

Zbliżał się termin tradycyjnej, dorocznej wystawy prac artystów wydziału w Tarble Art Center (TAC). Miałem przywiezione dwie kompozycje „Capriccio”, malutką symfonię na lustrach „Lustrzaną” i ukończone dwie miniatury „Con Variazione,” powstałe już tutaj, w Charleston. Stresowało mnie to jedynie, że nie miałem jeszcze ani jednej gotowej pozycji dużych

rozmiarów, prac tak charakterystycznych dla mojej roboty, tej zrealizowanej w Warszawie.

Wernisaż, jak oni nazywają *reception*, był z szampanem, krakersikami i mini kanapeczkami z łososiem lub kawiozem.

Koleżeńska konfrontacja wypadła dla mnie nader pomyślnie. Zaskakująco! Zewsząd, po przemówieniach, podchodzono do mnie podkreślając znaczącą odmienność jakości artystycznej, kreacji. Podkreślano widoczną: 1) filozofię twórczości, 2) nowatorstwo z zastosowaniem komputera i nauki, 3) aranżację tych struktur w przestrzeni, 4) cudowność koloru.

Możliwości generowania moich „Kaprysów” za pomocą komputera uznawano za niezwykle i obce w amerykańskiej sztuce nowatorstwo. I to w nieznanej im Polsce, w komunizmie. Mówiono mi, że Kaprysy rozwibrowywały powietrze i światło. W cudnym TAC! Trza tu podkreślić, że Charleston jest położony na tej samej szerokości geograficznej co Ankara, Rzym czy Madryt – kolory są tu bardziej nasycone. Mnie satysfakcjonowała mała symfonia „Zwierciadłana” i miniaturowa *Con Variazione*. Natomiast tam o g r o m n e zainteresowanie i uznanie wzbudziły Kaprysy, z uwagi na mnogość konfiguracji sześciu trójkątów w sześciu kolorach spektrum – „Capriccio”.

Jakoś dwa, może trzy tygodnie po wystawie, gdy byłem zaproszony do domu PP. Czarnieckich, do Oak Park (Chicago), Alicja zamówiła sobie maleńką

symfonię „Zwierciadlaną”, która w Tarble Art Center sygnalizowała nie ukończoną (z powodu wprowadzenia stanu wojennego dnia 13 grudnia 1981 roku) symfonię 13-tu błękitnych – „Feralną”.

„Zwierciadlaną” znali PP. Czarnieccy jeszcze z Warszawy, gdy bawiąc w PRL podczas urlopu, chrzcili w warszawskiej katedrze malutkiego Stefanka. Wtedy to poznałem Jana Czarnieckiego, gdy oboje odwiedzili mnie w pracowni i zakupili jeden z kaprysów chromatycznych.

Alicję zapamiętałem z lat 70-tych, kiedy to bywała z koleżankami w winiarni „U Hopfera”. Studiowała psychologię na UW, przyjaźniła się z Sokołem (Wiesław Sokołowski, poeta) oraz z nami, malarzami: Jurrym Zielińskim, Witoldem Maszniczem i innymi. Była piękną blondynką, z d. Szafraniec, rodem z Sokołowa Podlaskiego.

* * *

W przydzielonej pracowni do własnego rozwoju, willi przy Lincoln Ave, róg Piątej Ulicy, spieszyłem ukończyć przed wakacjami zaawansowane duże kompozycje malowane tłustymi impastami, aby już zupełnie suche były gotowe do bezpiecznego spakowania i transportu „w Amerykę”, dla której to wszystko tam malowałem.

PS. I jak tu nie wierzyć w przeznaczenie (destinations), skoro nieoczekiwanie na Navy Pier przypadkiem poznaję... pana Arnolda ASHKENAZY!

EXHIBIT A

CIAPALO - REY 2nd TRADE AGREEMENT

V. 4 pictures big size

Improvisation II over Symphony "The Seasons"

	(Red)	62 1/2 x 82"	oil/cann.	9,000
over Symphony in Green, # 1 (green)	..	82 x 62 1/2"	..	9,000
over Symphony in Green, # 2 (green)	..	82 x 62 1/2"	..	9,000
over Symphony in Green, # 3 (green)	..	82 x 62 1/2"	..	9,000

VI. 4 pictures small size in velur frames

	on 19 3/4 x 19 1/4"	oil/cann.	750
#1 Red-blue	..	..	750
#2 Red-blue	..	..	750
#3 Yellow-green	..	..	750
1 Earlier picture "Pon"	..	..	750

TOTAL RETAIL PRICE

\$ 104,700.

Plus Chicago

DATE

7/9/89

Plus Chicago, NY

DATE

8, 08, 89

Page 2 of 2

RESOURCES EXCHANGE

A CREATIVE TRADE COMPANY

EXHIBIT A

CIAPALO - REY 2nd TRADE AGREEMENT

Paintings sent by north - American Van Lines June 22, 1989.

I. American Miniature "On variations"

	Computer serie A in gold-green	28 1/2 x 65"	gliding oil/lin.cann.	\$ 3,000
#1, Miniature	..	28 x 64 1/2"	..	3,000
#2, Miniature	..	28 1/2 x 63"	..	3,000
#3, Miniature	..	28 1/2 x 60 1/2"	..	3,000
#4, Miniature	..	28 1/2 x 60 1/2"	..	3,000
#5, Miniature	..	28 1/2 x 60 1/2"	..	3,000

II. American Miniature "On variations"

	Computer serie B in black-green	28 1/2 x 57"	oil/linen canvas	\$ 2,500
#1, Miniature	..	28 1/2 x 57"	..	2,500
#2, Miniature	..	28 1/2 x 57"	..	2,500
#3, Miniature	..	28 1/2 x 57"	..	2,500
#4, Miniature	..	28 1/2 x 57"	..	2,500
#5, Miniature	..	28 1/2 x 57"	..	2,500

III. Capriccios

"Capriccio #61,	31 ¹ / ₂ x 33 "	oil/linen canv.	\$ 2,500
"Capriccio #62,	31 ¹ / ₂ x 33 "	"	2,500

IV. Two pictures large size

Improvisation I, Symphony "The Seasons"	(Red) 71 x 82 "	oil/linen canvas	\$ 12,000
Improvisation "Chicago- Loop"	(Blue) 71 x 82 "	"	12,000

Page 1 of 2

8440 S. RIVER ROAD, FORT LAUDERDALE, FL 33309-1000, (305) 461-7700

Wystawa Demokratyczna 1981 – „Zachęta”

Już po sukcesach Ruchu „O Poprawę” lat 70-tych, na fali budzącej się demokratyzacji jeszcze „przedsolidarnościowej”, w 1980 roku zostałem wybrany do władz Okręgu Warszawskiego ZPAP. Otuchę ogólnonarodową wspierał wybór naszego papieża.

* * *

W II połowie lat 70. czyli w tzw. czasach gierkowskich, najłatwiej pośród plastyków egzystowało się konceptualistom. Popierali ich krytycy artystyczni. Władze też.

Próbowałem więc, początkowo z kolegami z Ruchu „O Poprawę”, potem już solo, zwrócić uwagę na naszą, polską sztukę „warsztatową”, materializowaną poprzez malarstwo, rzeźbę i grafikę.

Sprzyjającą mi „konstelację planet”, gdy wybrano mnie do władz Związku, wykorzystałem opracowując jubileuszową wystawę 35-lecia Okręgu Warszawskiego ZPAP dla galerii „Zachęta” w 1981 roku.

Jestem więc członkiem 7-osobowego Prezydium Zarządu Okręgu i na styczniowej Radzie Artystycznej ogłaszam alternatywny program jubileuszowej wystawy okręgowej, albowiem kunktatorską i bezproblemową koncepcję wystawy festiwalowej kolegi Grzegorza Pabla już po raz trzeci (!) Rada odrzuca. Promuje on bowiem wąską grupkę uznanych i powszechnie

znanych, pomijając ambitną młodą falę i szerokie masy, które płacą składki przez 35 lat! Czas nagiął, a zniecierpliwienie Rady rosło. W tajnym głosowaniu całej Rady wygrałem ten „konkurs” przy dwóch głosach sprzeciwu i trzydziestu siedmiu głosach „za”. Droga do sukcesu wreszcie demokratycznej wystawy stała otworem. Wreszcie bez jury!

W kraju sytuacja staje się coraz bardziej dramatyczna. Strajki w zakładach pracy rodzą związki zawodowy „Solidarność”.

Skład Prezydium Okręgu Warszawskiego ZPAP: Julian Raczko, Monika Piwowarska, Grzegorz Pabel, Ryszard Wojciechowski, Barbara Śliwowska, Cz. Pius Ciapało. Prezesem Okręgu jest Jan Karczewski.

Zarówno dyrekcja CBWA Zachęta (Mieczysław Ptaśnik), jak i władze Wydziału Kultury warszawskiego ratusza (dyr. Izabela Toczyłowska) poparły inicjatywę wystawy okręgowej. Są środki na honoraria dla komisarza i projektanta ekspozycji (około 3 tysiące prac 800 autorów!). Mam także promesę na przydział kilku ton papieru kredowego w II kwartale 1981 roku. Specjalny katalog wystawy (wg projektu) oprócz wprowadzenia komisarza oraz tekstu prezesa Okręgu zawierał: notę biograficzną i fotografię każdego autora, oraz czarno-białą reprodukcję jego dzieła.

Prace redakcyjne w CBWA „Zachęta” były już ukończone, gdy kilkoro wpływowych oponentów mojej wystawy spowodowało obstrukcję w kwestii przydziału

papieru w Departamencie Wydawnictw Ministerstwa oraz zwłokę w przekazaniu kompletu materiałów do drukarni. A to zastopowało wydrukowanie katalogu!

Strajki ogarniające kraj nie ominęły też „Zachęty”. Jest wrzesień, prace montażowe ekspozycji trwają dniami i nocami. Zdekompletowana ekipa montażystów „Zachęty” nie jest w stanie podolać. Zaangażowałem więc do pomocy w montowaniu ekspozycji wszystkich członków mojej rodziny. Pracują również nasi koledzy. 800 autorów wystawy nie doczekało się druku katalogu; awaryjnie drukuję folder z tekstami oraz fotografie ukończonych sal wystawowych – fragmentów ekspozycji. Dyrektor Mieczysław Ptaśnik ściąga do pomocy Kompanię Honorową Wojska Polskiego. Dźwigają granitowe, potężne portrety wielkich Polaków autorstwa rzeźbiarza Alfonsa Karnego.

Otwarta wystawa przyciąga codziennie setki zwiedzających – kolejki do kas sięgają aż połowy ulicy Mazowieckiej...

W ferworze gorączki czasu montażu nie umieszczono jeszcze prac kilku autorów, a przy wielu pracach nie zdołaliśmy umieścić wszystkich metryczek z nazwiskami i tytułami prac (strajkują wszystkie działy „Zachęty”). Uzupełniliśmy całość już po oficjalnym otwarciu wystawy.

Reporterzy prasowi i krytycy sztuki stali się aktywni, jak nigdy dotąd. W każdej redakcji są gorący zwolennicy podkreślający całokształt dorobku artystycznego warszawskich plastyków oraz bezpardonowi przeciwnicy

takiej wystawy. Kolorowa prasa ogólnopolska i warszawska zamieszcza setki publikacji. Krytycznych, analitycznych i skrajnie jadowitych. Jest remis 50/50.

Jeszcze w czasie trwania wystawy młody redaktor telewizyjnego „Pegaza” Paweł Sosnowski oraz krytyk sztuki Marta Leśniakowska sprokurowali nagrania z moimi młodszymi kolegami, którzy bojkotują udział i protestują przeciwko demokratyczności w sztuce. To oni: z grupy „Śmietanka” – Andrzej Bieńkowski, Włodzimierz Zakrzewski Jr i Tomasz Ciecierski. Są zdecydowanie za elitarnością w sztuce, pozbawiając społeczeństwo wglądu, jak to naprawdę w sztuce polskiej jest. Uczciwie. Obiektywnie.

Przedstawiając swój program Radzie Artystycznej osobiście odwiedzałem wielu znanych, wspaniałych twórców (Stażewski, Kulisiewicz, Zemła, Kucz, Karny, Szajna, Gierowski, Pakulski, Majewski i wielu innych z Magdaleną Abakanowicz, która warunkowała swój udział, jeśli przyjmę w całości jej cykl „Plecy”). A do każdego z sekcji malarstwa, grafiki i rzeźby skierowałem na piśmie imienne zaproszenie.

Stuprocentowe poparcie znanych i uznanych gwarantowało mi właśnie przegląd warszawskiego środowiska artystów plastyków. Bez znaczenia był brak tych kilku kontestatorów- malkontentów. Prawie nikt ich braku w recenzjach prasowych nawet nie zauważył. Wrogość tych pseudoelit doskonale obrazuje plotka, którą ktoś nikczemny puścił w obieg, że demokracja w sztuce jest laurką dla komunistycznej władzy...

Było to obrzydliwe, bo właśnie nasz Związek (ZPAP) był jedynym stowarzyszeniem artystów w całym obozie demoludów, który NIE BYŁ DOTOWANY przez władze. Niezależność tę gwarantowała praca kolegów-plastyków. Praca usługowa Zakładów Artystycznych „ART” to projektowanie i wykonawstwo. Związek był wówczas nie tylko nie dotowany, lecz odprowadzał część dochodu do budżetu państwa! Tak było.

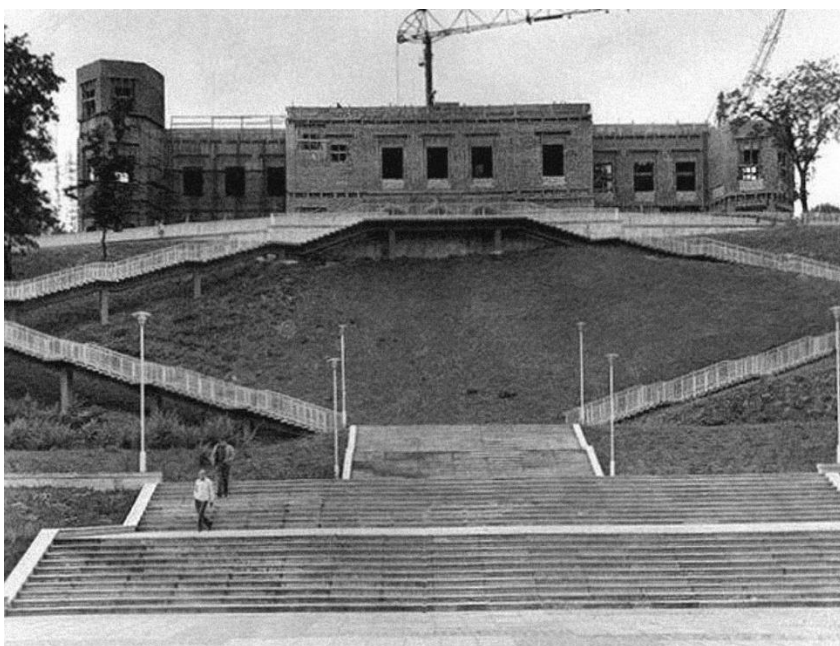
Karkołomną ekspozycję 3 tysięcy prac 800 autorów w „Zachęcie” formalnie projektował Geno Małkowski, ale faktycznie – wzorem naszych doświadczeń zagranicznych z Ruchem „O Poprawę” – wykonywaliśmy to wspólnie. Wspólnie też ponieśliśmy odpowiedzialność za sukces jej popularności wówczas, jak i konsekwencje niedomagań. Do dziś. Pomimo upływu wielu lat.

Z pewną satysfakcją, jak w olśnieniu umysłu, instynktownie wyczułem wtedy tendencję przedsolidarnościową. Dążność do demokratycznego pluralizmu versus monolitowi komunistycznej władzy i jej „elit”.

W obszernie ilustrowanym wywiadzie ze mną w miesięczniku „Sztuka” tłumaczyłem pani Nawojce Cieślińskiej zamierzony cel tej manifestacji ośmiuset autorów. Ogromem ekspozycji, gigantyczną frekwencją społeczeństwa mamy wyrzucić nacisk na władze, aby wybudować w Warszawie Centrum Sztuki Współczesnej – nasze wieloletnie, a nie spełnione dotychczas dążenie środowiska artystów plastyków, ludzi kultury podkreślających zaniedbania władz państwowych.

Pewien jestem, że ta środowiskowa manifestacja przyczyniła się do przeznaczenia odbudowywanego wówczas Zamku Ujazdowskiego w Warszawie na istniejące tam dzisiaj Centrum.

Pierwszym bowiem dyrektorem, i to chyba nie przypadkowo, zostaje właśnie Jan Karczewski, który zasiadając we władzach warszawskiej PZPR, skutecznie reprezentował wolę artystów plastyków, o czym kolejne dyrekcje Centrum Sztuki Współczesnej nawet nie wiedzą. (I pewnie też nie wiedzą o moim malarstwie).



Lata 70. Zamek Ujazdowski - odbudowa. Dzisiejsze Centrum Sztuki Współczesnej

Arnold Ashkenazy 1989. Eastern Illinois University.

Z końcem maja, swój przyjazd do Eastern Illinois University zapowiada rektor mojej uczelni – z Siedlec, by przedłużyć stałą wymianę naukową między naszymi uczelniami. A także kończąc swój pobyt w Kanadzie ma przyjechać również prorektor. Shirley Moore zwierza mi się z kłopotu ich zakwaterowania. Alicja i Jan Czarniecki wyszli z propozycją, żebym „zacumował” u nich, w Oak Park, w Chicago, a zwolnił Nr 69.

Bywałem u nich parokrotnie w czasie roku akademickiego. Nie sprawi im kłopotu ani moja osoba, a i zwiezione obrazy pomieści zagospodarowana suterena ich dużego, 100-letniego komfortowego domu z ogrodem. Janek jest architektem, urodzonym i wykształconym w Ameryce; Ala – po psychologii na UW – znajoma jeszcze z Warszawy, gdy była studentką. Pracuje w szpitalach, jako właśnie psycholog na oddziałach psychiatrycznych. Po urodzeniu Marcinka jest na urlopie macierzyńskim, a starszy Stefanek (ochrzczony w Warszawie, w katedrze) chodzi do przedszkola. Jan Czarniecki jest zainteresowany moim malarstwem i podziela mój zachwyt US wieżowcami, tylko od strony wizualnej. Od strony funkcji jednak ma wiele wątpliwości i zastrzeżeń. Oprowadza mnie po Chicago, grywamy w tenisa. Głęboka przyjaźń! Mówi: „w Navy Pier będzie wielka prezentacja setek galerii sztuki z całego świata”. Jedziemy tam. Istotnie, wzdłuż całego półwyspu idzie się ciągiem w ciasnocie miejsc.

Po lewej i po prawej stronie szlaku setki boksów, gdzie prezentują się galerie z całego świata, lansując swoich artystów. Historycznych i współczesnych. Powraca się tak samo wzdłuż urządzonych boksów – setki galerii. Tłum oglądających. Z towarzyszącą mi Anią rozmawiamy po polsku. A tu „dzień dobry, skąd jesteś?” Tak się zaczęła znajomość z Arnoldem. On, niewielkich gabarytów, około 50. jest z bratem Sewerynem współlnikiem całej sieci Lux-hoteli w Los Angeles, w jego najdroższym Hollywood! Żart? Nie! Pokazuję oprawione w plexi 6 slajdów (6x6 Kodak color) mojej wystawy w Zachęcie. Zamurowało go. „To ty jesteś malarzem? Ja prowadzę Ashkenazy Galleries – muszę mieć twoje obrazy”. Opowiedziałem, że jestem profesorem na wymianie w Eastern Illinois University i mam tu 34 swoje kompozycje. OSZALAŁ. Nie minął tydzień i Janek podaje mi kopertę z lotniczymi biletami do Los Angeles. Dla mnie i dla Ani. Na lotnisku oczekuje nas Arnold. Upał, jak cholera! Wita mnie jak najbliższego członka rodziny. Na parkingu stoi „jamnik-limuzyna”. Zza kierownicy wysiada w liberii i białych rękawiczkach rodowity Francuz. Arnold po francusku przedstawia nas, odjeżdżamy. Salonka tego „jamnika” (Cadillac) dobrze schłodzona, Arnold otwiera z lodówki szampana. Dwie godziny jedziemy przez gęsto zaludnione Los Angeles – mnóstwo Latynosów, wszędzie język hiszpański. Ashkenazy Mondrian Hotel, jak Marriott; tu zamieszkamy obwożeni przez Arnolda po pobliskich – Santa Fe, Barbara i innych kurortach regionu Los i San

Francisco. Błękit morza zlewa się w dali z kolorem nieba. Cała sieć hoteli Ashkenazy (6) rozlokowana jest w naj, naj miejscach Hollywood. Apartament kilku-pokojowy, meksykańska służba obsługi jest przemiła. Obiady jemy w towarzystwie Arnolda. Rysuje mi swoją koncepcję stałej współpracy. Odbierze przez firmę transportową obrazy z Oak Park. Część kupi za gotówkę, pozostałe zostaną jako umowa handlowa. Będę miał non-limit przeloty i hotele gratis w wybranych, atrakcyjnych miejscach całego świata. GRATIS! Warunek jest jeden: będę u niego malował – jak mówił – „jedną nogą w Polsce, drugą u niego przez pół roku 50:50”. Da mi dwóch asystentów, oni przygotują podłoża, ja wykonam swoje, oni oprawią, a ja się podpiszę.

Na początek zorganizujemy wystawę w N.Y. w „Shapolsky Gallery” i kupimy pół strony „Art in USA” i innych kolorowych magazynach. To pokryje kwota odjęta od sprzedaży moich obrazów. Za rok kupimy całą stronę w „Art Revue” lub winnej. A ja z asystentami będę malował nowe i nowe, takie, jak widział w „Zachęcie”. Szczypię się w przedramię jedno, potem w drugie – to nie jest sen. Poznałem też Arnolda brata – Seweryna Ashkenazy.

Podpisuję sporządzoną przez sekretariat „June, 1989, at West Hollywood, California Trade Agreement”. Lista wykazuje 22 tytuły prac (w tym są poliptyki) na łączną sumę \$ 103.700,-

Oczekuję, umówiony z dziewczyną, siedząc na ławce pod kwitnącymi lipami, tu, jak pl. Defilad k. Pałacu Kultury i Nauki.

Podchodzi Cyganeczka: daj 5 zł, ja ci wszystko powiem, co będzie i kim jesteś. Daj 5 zł, nie pożałujesz. Ty będziesz miał 3 żony, będziesz żył długo, będziesz bogaty i ty pojedziesz dobrze do Ameryki. Nie miałem 5 zł, byłem na 4. roku ASP, ale poczęstowałem papierosem i jak poprosiłem, żeby mi dała jeden pierścionelek, bo ja nie mam żadnego – już jej nie było.

Teraz, istotnie w 1998 roku, Dorunia jest moją trzecią żoną, w Ameryce dobrze byłem. Będę bogaty. Ale, CZY I KIEDY? Dziś jest 1998; mam 56 lat, urodziła się nam Gabrynia.

Dzisiaj, jak to wspominam, te ponad 100 tys. US.\$ było by 2-3 razy tyle, bo jest rok 1998!

Małżeństwo z Anią się rozpadło. Była mi nie-lojalną. Zachwyciła się Ameryką; zabrała mi dzieci, które już tam ukończyły studia, a ona znalazła tam upragnione. A mój czar prysł. Arnold przyjechawszy do Warszawy rozluźnia więzy, słabnie jego entuzjazm. Już nie widzi (nagle, po spotkaniach w Warszawie) dalszej współpracy, a zaległych dolarów nie spłaci – mogę te należności wykorzystać latając po świecie i mieszkać w wybranych hotelach, gdzie zechcę. Zgodnie z tym wszystkim, o czym stanowi zawarta z nim w West Hollywood (1989): „Trade Agreement”.

Niebawem w Hollywood, Arnold, chory na serce, zmarł i tak zamyka się ten rozdział o Arnoldzie Ashkenazy i mojej pracy tam wspólnie z „asystentami”...

Jeszcze, gdy rozentuzjazmowany, otwierał on w czerwcu swą filię w New York, zaprosił mnie i znów przesłał bilety na przelot tam i z powrotem. Byłem tam około 10 dni i znów, jak w Chicago i Los Angeles

zainspirowany N.Y. wieżowcami i WTC wykonałem, już w Warszawie, kilkadziesiąt niesamowitych obrazów, moich fantasmagorii na ich, tych wieżowców, temat.

A więc jednak byłem „dobrze” w Ameryce! Tu znalazłem inspirację – wieżowce! Cudowna architektura wielkich aglomeracji Chicago, New York, Los Angeles, Atlanty i innych miast oczarowała mnie. Maluję całe serie singli, dyptyków i polptyków – pięcio- i ośmiokątne obrazy, będące poetyckimi, przetworzonymi, fantasmagoriami tych, które tam widziałem.



Cykl prac malarskich „Architektoniczne” zamknęła tragedia WTC 11.09.2001 r.

Anglia. 1969.

Ledwom usłyszał (gdyśmy już dyplomowani oczekiwali na korytarzu), że Rada Wydziału Malarstwa przyznała mi ocenę bardzo dobrą z wyróżnieniem za zestaw 12 malarskich prac na płótnach, odczułem serdeczny uścisk dłoni prof. Kobzdeja oraz dziekana wydziału, a już drugiego, czy trzeciego dnia później, lądowałem na londyńskim lotnisku Heathrow, żeby *by Osborn's-Bus* znaleźć się na międzynarodowym obozie młodzieży w Tiptree w hrabstwie Essex, w pobliżu uniwersyteckiego miasta Colchester.

Aby otrzymać paszport i zezwolenie na wyjazd za granicę, trzeba było przedstawić zaproszenie cudzoziemca z zapewnieniem, że utrzymanie i opiekę lekarską zapewni na swój koszt. Zaproszenie musiało być potwierdzone przez ambasadę lub konsulat danego cudzoziemca w Warszawie.

Abdel Moniem Awadalla, czarnoskóry Sudańczyk, student III roku Wydziału Grafiki ASP wystawił mi zaproszenie do Anglii jakieś trzy miesiące naprzód, aby nasze władze miały dość czasu na „prześwietlenie” całości skomplikowanej sytuacji i autentyczność. Pokonując pozostałe progi trudności zawczasu zarezerwowałem bilet LOT-u. Obywatel peerelu otrzymywał (tzn. musiał, legalnie w banku kupić sobie) na wyjazd 10\$ jako tzw. kieszonkowe, aby nie wyjechał golusieńki.

Abdel był bardzo koleżeńskim studentem z iście semicką żylką do interesów. Znali go prawie wszyscy studenci; on niemal z każdym miał jakąś tam sprawę. Ja także. Odwzajemniłem się butelką „Porto” kupioną za dewizy w Pewexie, bowiem zaproszenie było na poły fikcyjne; Abdel nigdzie nie wyjeżdżał. „Jak Boga kocham, to wsiśko jest prawda” i pokazywał fotografie swojego domu i rodziny w Sudanie. Tata był cenionym czarownikiem i należeli do elity – pokazywał zdjęcia brata, siostry, matki i ojca opływających w dostatki w biednym przecież społeczeństwie. Dwa amerykańskie krążowniki z klimatyzacją, kamienny pałac (jak Babilon) skąpany w różach i bluszczu, strzeżony przez gwardię w uniformach robił wrażenie nawet na nas – adeptach sztuki. Pamiętajmy, był to rok 1969...P.R.L.

Ja byłem dla Abdela wiarygodnym kontrahentem. On może sprowadzić z Berlina zachodniego (wówczas RFN) używanego Volkswagena za nawet 100\$.

Z Oleńką mieszkaliśmy przy ul. Śliskiej we własnościowym(!) mieszkaniu w domu za *dolary* (zaraz, jak tylko powróciłem do Warszawy, oboje zostaliśmy aresztowani i po rewizji mieszkania (bładym świtem, odseparowani) i przewiezieni do Pałacu Mostowskich na jednodniowe przesłuchania. Oleńka bowiem, gdy byłem w Anglii, z dobroci serca, bezinteresownie sprowadziła z pomocą Abdela „garbusa” za 130\$ dla swojego wuja, księdza, a potem dla dwóch jeszcze księży – proboszczów sąsiednich parafii.

Milicja Obywatelska i pan kapitan Kocak wykryli... międzynarodową siatkę szpiegowsko-dolarową. A gdy wywiad PRL wszystko to sprawdził – dali nam spokój.

Jazda *Osborn's-Bus* trwała kilka godzin. Autobus zatrzymywał się w każdej miejscinie, a gdy stawilem się na farmie w Tiptree, Salis witał mnie jak znajomego. Odszukał formularze wysłane w kwietniu z Warszawy, nadał mi Nr 13, przydzielił pryczę w wojskowym (po wojnie) baraku i dodał *dinner will be at five o'clock*. Tak oto, przetartym wcześniej przez Sławka Blattona szlakiem, jestem na miejscu.

Wreszcie, pracując tu, w weekendy, poznam amerykański Pop Art i angielską New Figuration, dobrze mi znaną tzw. wolną sztukę, znaną, jako nowe tendencje. Zwiedzanie zapewni mi moja praca! Obozowisko wraz z wyżywieniem i co piątkową dyskoteką zobowiązał się Salis odplacić pracą międzynarodowej młodzieży na farmach firmy Wilkins'a. Aby nie zmarnowała się ani jedna truskawka od początku czerwca przez późniejsze czereśnie i inne owoce całych wakacji. Musi to zapewnić ciągłość pracy jego przetwórciom owocowo-warzywnym, znanych dżemów, soków i konfitur.

Wielka brygada młodzieży z całej Europy oraz kilku 20-latków z USA (uciekinierów przed poborem na wojnę w Wietnamie) rozwożona na różne pola upraw na platformie ciągniętej traktorem, zaraz po śniadaniu rusza do roboty.

Anglia tego roku – 1969 – jest skapana w słońcu, wyjątkowe lato – upał i urodzaj. Nie ma wsi, jakie

znałem w Polsce. Maszyna parowa oraz industrializacja zmieniła Anglię już w XIX wieku. Wykarczowane lasy stanowią tu wielkie pola przemysłowo uprawianego rolnictwa i hodowli. Konie widuję pięknie przystrojone z jeźdźcami. Są tylko pod siodło.

Jakoś niebawem przybywa tu z Polski była małżonka Sławka – Krysta. Nasza koleżanka z roku. Sławek poznał Angielkę, Stefanię, córkę polskiego pilota. Krysta podaje mi Życie Warszawy, a tu obok propagandowych info, nekrolog: tragicznie zmarł Bogumił Kobiela. Świetny aktor, znany z kilku filmów i programów TV. Gdym przed wyjazdem coś kupowałem w komisie na ul. Rutkowskiego, widzę, jak Kobiela wsiada do srebrnego BMW. Niebawem zginął w wypadku.

Patrzę na mapę. Anglia w centrum wspólnoty brytyjskiej, imperium „nie zachodzącego słońca”. United Kingdom. Wielki i bogaty *London is great*. Polska na kontynencie jest ciupeńka, tuż pod... Uralem! Wszystko tu inne. Ruch lewostronny i koszmarny system pieniężny, funty, szylingi, penny, korony oraz... graniasta, mała a gruba mosiężna trypensówka – *thropens*, heca. A największy miedziany *one penny* to jeden grosz. 20 szylingów=1 funt. 12 penów=1 szyling! Koszmar, jedna korona – to funt i szyling! Wolę dolary...

Natomiast język jest cudny. Gdy mówią potoczną rozmową „połykają” sylaby, trudno to wszystko zrozumieć. Ale jestem w Anglii, poznam Londyn.

Spotkam na żywo, w oryginale, znany amerykański Pop Art i angielską Nową Figurację.

Gdy pewnego razu wracam z Colchester na obóz, autostopem też wraca i Krysta. Zatrzymuje się Vaxhall, a to Paweł! siedemnastoletni student Womans Fashion, syn polskiego lotnika i sanitariuszki. Mówi czystą polszczyzną, Krysta tryska humorem, gadatliwa i paląca. Ja już odzwyczajony, a Paweł częstuje Rothmans'ami ku wielkiej radości Krysty, która (wyczuwam) – nabywa nadzieję na pozostanie w Anglii i dania rewanżu Sławkowi. Paweł parkuje przy naszym obozie i melduje się Salisowi. Mówi co i jak, więc pozostaje z nami na obiedzie i dyskotecce. Oni tańczą, całuski, Paweł promienieje, a ja zajęty rozmową z Lesley popijam *cider* i walczę z pokusą zdrady małżeńskiej.

Lesley, pulchniutka blondynka studiująca coś w Colchester, interesuje się sztuką, chętnie mi się obnaży, a ja będę rysował parokrotnie, ołówkami...

Paweł po śniadaniu zabiera mnie do Londynu, mam już trochę kasy, zobaczę National Gallery, British Museum, inne muzea i galerie. W następne weekendy Trafalgar Square, Tower Bridge, Big Ben, pojadę metrem, zobaczę słynny Hide Park, zwiedzę Soho i Royal Academy of Fine Arts. Zobaczę wreszcie w oryginale amerykański pop art i na żywo – głównie obrazy Francisca Bacona; sztukę, jak mi mówiono, bardzo zbliżoną do serii moich prac dyplomowych i rysunków. Ośłupiałem na widok jakże przejrzystego,

kolorowego planu linii metra! To bomba design. Trudno zgubić się w tym rozrytym tunelami podziemnym mieście-gigancie! Zachowałem ten plan z 1969 roku.

Na Soho trafiam na streapteasowy klub „Hawaii Club”. Wykupuję karnet – co weekend oglądam tancerki z całego świata, kolorowy performance 18 gołasów. Ukradkiem szkicuję malutkie notatki. A za 5 funtów mogę z nimi wypić w przerwie softdrinks. I pogadać.

Marny zarobek szybko topnieje, wyszukał więc Paweł farmę, gdzie będę jeździł traktorem na wielkich polach hrabstwa Sulfok. Dużo więcej zarabiam, mam pociesznych, także najemnych, rodowitych Anglików, dla których ja jestem śmieszny, ale friendly „bloody foriner”! (cholery cudzoziemiec).

A traktory to smoki amerykańskiej firmy Farm Hand, z wieloma kompatybilnymi maszynami czyniącymi z rolnictwa zmechanizowany przemysł. Tam obóz się skończy wraz z owocami, a ja tu pracując będę zarabiał do zimy i już samodzielnie bywał w Londynie, by szukać roboty po klubach i knajpkach. A może w Colchester... Paweł z rodziną rekomendują mnie jako dyplomowanego projektanta, do fabryki plastiku w kolorach klocków Lego. To pewne. Postaram się o *Labour Permission*. Tak, dostanę tę pracę.

Tymczasem jest 1. września. W Albert Hall będzie wielka polska uroczystość. Sprawdzono. Nie jestem komunistą. PP. Wołkowińscy mają zaproszenie i dla

mnie w 30. rocznicę agresji niemiecko-ruskiej. Akademia w wojskowej formule. Generała Andersa wwożą na scenę na wózku. Po meldunkach dowódców wszystkich rodzajów sił zbrojnych (wojska lądowe, marynarka i lotnictwo) rozpoczęła się część oficjalna w polskim stylu wojskowym, trochę odmiennym niż w peerelu. Po przerwie zaczęła się część artystyczna. Nie do opisania wzruszająca i piękna. Żony naszych bohaterów – Angielki, Szkotki, Irlandki szlochają wzruszone i chlipią w chusteczki. Rozumieją i znają nasz dramat narodowy. Utrata wolności i własnego kraju!

Ilustrowana w tańcu i aktorsko podana brutalna agresja i okrucieństwo Niemców, a potem Sowietów i mnie, tam, na obczyźnie, ogromnie wzruszyło!

Do łez...

Znałem to wszystko z rodzinnego domu. Nóż w plecy, zsyłka i Katyń. W końcu stalinizm zniewala, bez prawa powrotu do Ojczyzny! Zostali na Zachodzie.

Pracę magisterską pisałem pod kierunkiem prof. Ksawerego Piwockiego o „Kapistach”. Wiedziałem, że kilku pozostało na emigracji. Topoloski i Potworowski w Anglii, a z Francji przyjechał Czapski. Wiem, że są tutaj, czy ich poznam? Bardziej medialni są ci z Radia Wolna Europa i BBC. Tych kilku poznałem, jako jedyne z ojczyzny mnie im przedstawiono. Zbywali mnie, trochę nieufni. Młody byłem. Natomiast bardzo życzliwie rozmawiał ze mną red. Jeziorański, a także spikerka radiowa. Nazwisk wszystkich już dziś nie

pamiętam. Zapamiętałem ten cudny polski, wojskowy ceremoniał i program artystyczny. I mundury! Z orłem w koronie!

A potem odbył się polski bal. Z polonezem. To, pardon, teraz poznałem pana red. Jeziorańskiego, który ze mną życzliwie chwilę rozmawiał. Znałem ich głosy z Radia Wojna Europa. Na towarzyszącym kiermaszu można było kupić wiele ciekawych książek, które są zakazane w Polsce i wydawnictw; m.in. Paryską Kulturę. Bieżące i archiwalne numery. Te trudno byłoby mi przewieźć, więc kupiłem wszystko, co było Marka Hłaski.

„Trzymaj się smyku z dala od polityki. Odbiją ci nerki i płuca lub zgnijesz na Kleczkowskiej. Jeśli masz, talent, jak mówią w szkole, to wykaż go w swojej sztuce. Tym bardziej przysłużyś się ojczyźnie. Ofiarę krwi niech złożą inni, a ty maluj, jak Kossak, jak Matejko” – pobrzmiwała mi przestroga ojca, gdy przewoził zakazaną „bibułę” do Polski.

Tata mój, Ignacy, ur. w 1900 roku, przeżył carat, I wojnę światową i już (jako nastolatek), będąc legionistą marszałka Józefa Piłsudskiego przepowiadał legionistom zmiany kwater, gdy nocami śniły mu się buty (!). Sam przeszedł w Tyrolu bardzo ciężki szkorbut tracąc kilka zębów. Potem, już w wolnej Polsce, jako poborowy walczył w Bitwie Warszawskiej 1920 roku. Z drugiej wojny światowej uszedł cało, szczęśliwie przemieszczając się w walkach z Niemcami, potem z Sowietami. I ukrywał po wojnie całą swoją

przeszłość. Do dziś nie wiem, czy był w regularnym WP, czy walczył w podziemiu.

Ja natomiast chcę malować, być nowoczesnym. Ale czy bezideowym? Po rozmaitych odmianach europejskiego abstrakcjonizmu przyszedł czas na sztukę przedstawieniową. Na figurację! Swoje „Erotyki” może będę realizował w kolorowych plastikach, właśnie tam, w Colchester; rzeźby – w przestrzeni. Muszę jednak tu przytoczyć jeden z wrześnieowych weekendów, gdy Paweł przywiózł mnie do grupy swoich kolegów w Londynie. Zajmowali oni cały 5-pokojowy basement (suterena) ceglanej kamienicy w pobliżu Abbey Road, gdzie The Beatles nagrywali płyty.

Cały tydzień byłem ich atrakcyjnym gościem, z kraju zza żelaznej kurtyny! Viktor był synem rosyjskiego emigranta, antykomunisty – kolegi ojca Pawła. Był Viktor znanym tancerzem w Royal Ballet i mieszkał z kolegami z baletu w jakby komunie. Nosili długie włosy i chodzili po czerwonych dywanach nago.

Z wielkich kolumn dudniła ostro muzyka awangardowych grup beatowych, a także nowość, zanim ukaże się na rynku płyta Abbey Road. Znali się z rówieśnikami – Beatlesami. Zdobyli też i dla mnie tę płytę i z końcem tygodnia dodali mi świeżo wydrukowaną okładkę, jak Bitlesi idą na pasach.

Cały ten tydzień chodziłem po Soho, oglądałem, co mnie interesowało i słuchałem starając się półgłosem wymawiać całe zdania, perfekcyjnie, tak, jak to

oni wymawiali, naśladowując charakterystyczną intonację i rozłożone akcenty. Czasem „wyciskane” z przepony.

To właśnie tutaj i teraz uzmysłowilem sobie, że skoro nie ma, jak w Polsce, wsi, tzw. chłopstwa – nie ma też ludowych tańców i regionalnego folkloru.

Pop-music i to wszystko razem – to Kultura Neoludowa, którą później szerzej opisałem, w punktach, w katalogu III wystawy „O Poprawę” w 1976 roku w Warszawie. Jako właśnie sztukę „Neoludową”.

Ale cicho! Bo oto w pogodne przedpołudnie: śmiało paradyje topless młoda piękność (chyba w mini spódniczce, nie zauważyłem), a cycuszki jej niemałe cudownie podskakiwały, przyodziane sznureczkiem z czarnymi koralikami. Nie oglądałem się i nikt się nie oglądał, choć scenka była arcywyjątkowa! S o h o !

To był rok 1969. W Ameryce i w Anglii czas hippiesów. Imprezy na wyspie Wight, gdy ze scen nie schodzi musical Hair, a w TV i radiu tylko beat i protest songi przeciwko wojnie w Wietnamie. „Make love, not war” – to tak bliskie moim przemyśleniom. Dlaczego imperatyw prokreacji, wręcz wyuzdanego wolnego seksu? Upublicznionego?

To później odnajduję odpowiedź, czy istotnie jestem współczesny ze swoimi późniejszymi symfonią, oratorium i kaprysami? Tak, niewątpliwie należę do pokolenia hippiesów, jestem pacyfistą, bo w sztuce zapamiętałem poddałem się obrazowaniu erotyki.

Z londyńskiej budki dzwonię do Wrocławia. Mama źle się poczuła, zabrało ją pogotowie. Nic w tym

groźnego, powiada Marysia. Uspokojony powracam na farmę. Żniwa ukończone, pola Jeff już zaorał, będę pracował na rotewatorze. To bardzo ciężki traktor z ustawioną dźwignią biegów na „low” i bardzo wysokie obroty, ciągnie rotevator rozdrabniający skiby i kamienie. Niewiarygodny huk i kołysanie od 6 rano do zmroku (z przerwą na lunch) towarzyszą mi przez całą noc. O 5:00 Roger już trąbi swoim Mini. Dopijam kawę i do roboty. A ruszając Mini Cooperem dodawał: „let’s go to do something for the Queen and the Country”. Wszyscy tu mamy białe kombinezony, które co piątek zdajemy do prania, by w poniedziałek przydziać czyste. *Rotevating* ukończone, pola gotowe do obsiania, a ja innym traktorem stawiam ogromne wieżowce z kostek słomy, które Peter inną maszyną kubikował, po osiem sztuk w 1.

Bezchmurne niebo z wolna przyobleka się w chmury, jest parno. Zamglone ranki, bezlitosne słońeczko rozbieliło mi nie strzyżone latem włosy. Wieczorem mgła zasnuwa pola aż po horyzont...

Dziś będziemy całą ekipą przewozić z klatek kurzej farmy młode kury do innego baraku tej farmy – do klatek dla dorosłych, niosek. I odbierać, selekcjonując ich jajka. Potem, z baraków wolno biegających pod czerwonymi lampami kurcząt, łapać je, aby z trzymanyh za jedną nóżkę zebrać po cztery kurki (w lewej i prawej ręce), upchnąć w klatkach i przewieźć je do tych, któreśmy wprzód opróżnili – tych podrostków. Nogi kur są zadziwiająco cieplutkie –

niektóre, czupurne, potrafią w odwecie dziabnąć, do krwi. Kiedy w Polsce powstaną takie farmy? I czy ktoś wykorzysta moje nabyte tu umiejętności i niewiarygodną sprawność kierowcy? Kiedy nastąpi taka mechanizacja, gdy szybko, automatycznie, sprawnie, przewiezione zboże z pola dwoma przyczepami z transporterem w spadzistych dnach w ciągu zaledwie kilku minut znajdzie się w giga-elewatorach, podawane rurą ze ślimacznicą? W kilka minut?

Dzwonię do Wrocławia, kończy się listopad. Stan zdrowia mamy pogarsza się. Będę musiał wracać, jest bardzo źle. Tak, powrócę. Bukuję zarezerwowany bilet powrotny. Paweł, niezawodny, odwozi mnie na lotnisko. Oczywiście powrócę do Colchester, by podjąć pracę w fabryce plastiku – wszystko jest tu załatwione...A plastik w kolorach klocków LEGO.

Nigdy nie powróciłem.

Mama zmarła przed Bożym Narodzeniem.

Mimo, że przyszło zawiadomienie, że Związek Plastyków wytypował mnie do stypendium zagranicznego – składałem wymagane wnioski, opisuję ofertę pracy w Colchester – i oczekuję na odpowiedź... do dzisiaj!...

Nb. Nasi chłopcy w Anglii musieli być dobrymi partnerami Angielek. Do mnie Lesley też przysłała pocztówkę „Pop-Art” z zapytaniem, czy zabrałem ze sobą ulubiony traktor? I czy dalej chcę mieć czternaścioro dzieci?

Jednego razu, przy piwie, Jeff opowiedział kawał:
„John, jak myślisz, co jest takie NAJ? Ja myślę, że seks. A ja, mówi Jimmy, że święta. No to ja, że jednak seks, a Jim na to – no tak, ale święta są częściej!!!

Anglicy są tacy sami, jak my. Często dosadnie żartują, a nawet wtedy potrafią utrzymać „pokerfejs”.



"Les / ey" 2 rys. ołówkiem / karton 11 x 9 cm. Tiptree, Essex (Anglia) rok 1969



Mój Wrocław. 1946

Całe setki, tysiące czy dziesiątki tysięcy, a nawet może i setki tysięcy niemieckich przesiedleńców,(gdy zamknę powieki), wędrują z wózkami w kierunku autostrady na Berlin. To jeszcze w maju 1946 roku, gdyśmy zjechali do miasta; kwitły bzy, jaśminy, rododendrony, wiśnie i różaneczniki, pachniała czeremcha, słowem: wszystko, co żywe, w pustyni gruzowisk zbombardowanego przez Ruskich miasta – „Festung Breslau”, pośród dopalających się zgłiszcz Wrocławia.

Wyludniała się blisko milionowa, zamożna metropolia pełna jeszcze wspaniałych resztek świetności ogromnego miasta uniwersyteckiego, wielu teatrów, oper, kin, pięknych sal koncertowych, ogromnych hal sportowych i handlowych, kilkunastu dworców kolejowych i wąskotorowych, setki kościołów i tyleż mostów! Metropolia, gdzie nie ukończony Stadion Olimpijski z przyległym kompleksem infrastruktury sportowej zaświadczał o wielkości, świetności i rozmachu miasta. W pobliżu stadionu mieszkaliśmy...

Na terenie Wrocławia wpada do uregulowanej Odry 5 dopływów, 2 koryta (stara i nowa Odra) nowoczesne i uzbrojone w śluzy, jazy i kanały (przeciw powodziowy i żeglugowy), jako sieć dróg wodnych oplatają to miasto tworząc wielki port rzeczny w Europie.

Moja dzielnica, głównie willowa, odległa od zburzonego i wypalonego centrum, prawie w całości ocalała – straszy tylko gdzieniegdzie szczerbatymi parcelami gruzowisk. W gruzowiskach tych i ich sąsiedztwie połączonych podziemnymi tunelami, w piwnicach, siedzi jeszcze masa hitlerowców, wyszkolonych i uzbrojonych, wyposażonych w konserwy i czekoladę. Mogą zaatakować znienacka, gdyż nieopodal, na Psim Polu, zbroją właśnie bombę atomową czy wodorową, aby ją wystrzelić raketami V-1 czy V-2 i przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Miałem wtedy 4 czy 5 lat, a starszy brat i jego jeszcze starsi koledzy wszystko wiedzieli, a nawet... na własne oczy widzieli w tych betonowych schronach oznakowanych wewnątrz farbą z odblaskowym fosforem.

Zbroić się trzeba, ćwiczyć też i być bardzo silnym odważnym i dzielny!

Splądrowane i obrabowane, muzea, biblioteki, archiwa, banki, kościoły, szkoły, teatry, kina i radiostacje z wolna opanowuje polskość przybierając zdecydowanie lwowski (tajój!) charakter.

Pomimo wojennych ran, wygnania ze Wschodu i wielkich strat materialnych ludność promienieje humorem. Nawet napływowi, dawni bezrolni z centralnej Polski, naśladują Szczepcia i Tońcia, tracąc swoją gwarę. Z wolna klaruje się czysto polski język literacki.

Obok elektrycznych, gazowe latarnie uliczne rozbłyskują coraz częściej i z zaludnianych napływowymi, Neo-Wrocławianie wypychają z centralnych dzielnic pospolitych przestępców, szabrowników, prostytutki i złodziei w obszar nie oświetlonych gruzowisk, którymi tylko w ciągu dnia, jak przez pustynię wąwozów śmierci, przejeżdżają dudniąc pośród granitowych jezdni zwinne, niebieskie tramwaje. Czasem nocą ciszę rozrywał krzyk – ratunkuuu...!

Pionierskie lata w zburzonym Wrocławiu, wiernej twierdzy Adolfa Hitlera, która padła później, już po kapitulacji Berlina i oficjalnym zakończeniu II wojny światowej, nastrajają do czujności. Rodzice ostrzegali nieustannie o licznych zagrożeniach. Głównie złych ludzi, porzuconej broni, zabawek-pułapek oraz groźnych niewypałów. Leży wiele wraków samolotów.

Pójść do szkoły w 1949 roku to duża dla mnie odwaga. W piwnicach porzuconych szkół, kościołów czy zbombardowanych budynkach oczekuje tam mnóstwo skarbów, ale i czyha śmierć! (kilku kolegów zgineło; na skwerku opodal domu ekshumują zabitych).

Tatuś, piłsudczyk, który w „ludowej ojczyźnie” musi ukrywać swój przedwojenny (i wojenny też) rodowód chodzi do pracy na siódmą i z pensji wypłacanej raz w miesiącu, oraz dodatku „rodzinnego” (na troje dzieci) ma na utrzymaniu całą rodzinę – żonę, nas troje i cały dom. Dobrodziejstwem był deputat węglowy do ogrzewania zimą mieszkań. Władza ludowa zapewni wiele, byleby nie było rozlewu krwi –

da jakieś lokum, szkołę, ubezpieczalnię społeczną. Da wszystkim, milionom. Za darmo. A walczące sanacyjne podziemie ma zgnić w więzieniach, zamęczone przez UB. Chłopom zaś da ziemię.

Dzielni junacy z SP (Służba Polsce), urzędnicy, młodzież i dzieci odgruzowują miasto; cegły z odzysku pojedą do Warszawy na odbudowę Starówki, budowę trasy W-Z i MDM-u. „Cały naród buduje swoją stolicę”. Jestem w I klasie. Starsi, z wyższością, przezywają nas „pierdaki”. Wszędzie, na trawnikach i ulicach walają się papierowe jednozłotówki. Już nie dostanę cukierka w papierku za starą złotówkę. Papier został wyparty przez metalową 1-złotówkę. Polska Rzeczpospolita Ludowa (złotówka - blaszka; przed wojną był 1 złoty!). Ale teraz jest jeden cel. Dynamicznie wejść w Plan 6-letni, byleby odbudować kraj, by rytmicznie tętniło życie, fabryki i huty dymiły dniem i nocą. Byleby obsiać, wolną od kułaków, ziemię orną. Władza ludowa zapewni wszystko, by żaden jeździec na białym koniu nie zakłócił roboty, a państwo robotników i chłopów siłą mięśni dokona cudu, zaś sprawiedliwość społeczna zapanuje nad światem. Czuwa nad tym Soso Dżugaszwili, nasze słońeczko, Józef Stalin. Jedna partia i jeden naród! Oto ideologia gwarantująca trwały sukces.

W 1956 roku, BBC (bum-bum-bum London) i na średnich (falach radiowych) Waszyngton relacjonują wydarzenia na Węgrzech. Budapeszt, a potem polski

Poznań. Z Andrzejem Sieragowskim, gdy Poznań już zdławiono, oddają dwukrotnie krew podczas akcji: „dla braci Węgrów”. Na dworcu głównym podpalamy radziecką flagę na znak protestu przeciwko tyranii i zniewoleniu.

Młodzież licealna i studencka solidaryzuje się z Paľawagiem, FUM-em i innymi wielkimi zakładami. Milicja Obywatelska nie ma jeszcze jednoznacznych rozkazów i nie rozumie, o co chodzi. Nie mają jeszcze pałek!

Dopiero kursy ideologiczne, represje i zaostrenie dyscypliny partyjnej dają efekty. Stabilizuje się władza komunistyczna; wybrano uwolnionego z więzienia Władysława Gomułkę – Wiesława. Będzie wreszcie socjalizm „z ludzką twarzą”. Destalinizacja?

Budapeszt padł. Imre Nagy’a złuzował Kadar. Tito (w Jugosławii) zarządza separację. To strefa dolarowa. Jestem licealistą szkoły plastycznej. Hormony buzują, krew nie woda! Jedno jest pewne. Będę malarzem.

Wrocław, fragment miasta, maj 1945 r.



Marzec '68

Rządy Gomułki w praktyce okazały się złudne. Wypuszczony ze stalinowskiego więzienia po krwawych wydarzeniach „Poznania '56” z roku na rok rozczarowywały nawet tych, partyjnych. Tzw. intelektualści wysuwają petycje, narasta nastrój antyradziecki, a teatralny spektakl „Dziady” w reżyserii Kazimierza Dejmka wykorzystują (później nazywani „komandosi”) do mobilizowania młodzieży, do owacji i przerw w przedstawieniach, gdy ze sceny padają antycarskie słowa i hasła.

Jest 8. marca 1968 roku. Jak co dzień jemy obiad na UW, gdzie sławistykę kończy sympatia (jeszcze z Wrocławia), późniejsza małżonka Ola. Jest bułgarystką. Wychodzimy na dziedziniec UW, a tu jakieś spontaniczne przemówienia studentów o „Dziadach”, wolności słowa i „zapuszkowaniu” Adama Michnika. Zbierają się grupki wykrzykujących powyższe hasła, gdy nagle, przez główną bramę, wjeżdżają trzy autobusy PKS-u „Karosa” z napisem WYCIECZKA. Wysypują się dorośli mężczyźni i nic nie krzycząc objają kogo popadnie, rozpędzając, jak się później okazało, WIEC STUDENCKI.

Nas ominęło bicie. Chcieliśmy wyjść z dziedzińca, gdy nagle facet wyrywa Oleńce torebkę (oni zbierali legitymacje studenckie do imiennego wykazu wiecujących). Na cały głos wrzeszczę – „Pomocy, ratunku!

Złodziej!” Ten cywil odpuszcza; spokojnie opuszczamy UW i autobusem 155-tką wracamy do domu, na Kole.

Opowiadał mi później Bronowski, że jego brata też z pracy zabrano do autokaru... po drodze powiedziano im, że na UW jest żydowska prowokacja i trzeba ich rozgonić. A gdy już wjechali na teren uczelni, wręczono im pałki do bicia, aby rozpędzić tłum. Kiedy jego brat niezdecydowany wyjął zza pazuchy tę pałkę, oberwał od bitych studentów „po ryju”, a gdy pobity schował pałkę, następne bęcki dostał od pałujących, albowiem był jeszcze młody i mógł być studentem. Usiadł pobity, posiniaczony i zakrwawiony na krawężniku Karkowskiego Przedmieścia i z wybitym przednim zębem przeczekał całą zadymę, gdyż pobitemu obie strony dały już spokój. Adama Michnika natomiast, jak zwierzył mi się Józek Deutschgewand, na studium wojskowym, MO celowo zapuszkowała, aby mu włos z głowy nie spadł...

N.b., z Deutschgewandem prawie całe studium wojskowe siedziałem w jednej ławce.

Geneza symfonii wizualnych

Jeśli lata 70. to okres indywidualizacji poszukiwań wypowiedzi artystycznej, to w tej indywidualizacji poruszałem się nad wyraz swobodnie, zwyczajnie i nieoczekiwanie dla mnie, zaskakująco szybko. Naturalnie.

Studia akademickie ukończyłem w 1968 roku. Dyplom uzyskałem w 1969, zaś debiut indywidualny urządziłem w Salonie Debiutów ZPAP w 1970 roku. Stąd prawdopodobnie zostałem zaliczony do „Pokolenia 70” i, choć przynależność zda się oczywista, to wyjątkowość pokolenia stała się absolutnie niewątpliwa.

Za zestaw prac dyplomowych (12 obrazów dużych rozmiarów, techniki mieszane i olej/płótno) w pracowni prof. Aleksandra Kobzdeja (na Wydziale Malarstwa) jednogłośnie otrzymałem wyróżnienie. Była to wiwisekcja obsesyjnej wyobraźni erotycznej, która na fali angielskiej „New Figuration” zdobyła paszport polskiego obywatelstwa i promesę artystycznej kariery.

„Nowa Figuracja” to dla krytyków i historyków sztuki, po abstrakcji, strawny termin, a cała ta epidemia przyszedłszy w Zachodu pozostała pustą ilustracją tegoż terminu. Zdeformowane i nie anatomicznie „połamane” ciało figury człowieka – głównie kobiety, malowane głównie przez kobiety (!) znalazły uznanie rodzimej kosmopolitycznej krytyki artystycznej, jako że

ilustrowały obce odkrycia, obrazując jakby logiczny rozwój sztuki.

Bliskim mojej osobowości, no i generacyjnie, był mi ruch hippisowski. „Make love not war” to hasło preferujące miłość; jej zmysłowość, sensualizm. Nasuwały się pytania: why? dlaczego? Cóż to za przemożna siła napędza nasz popęd? Mnie, rzecz jasna, do płci przeciwnej, do kobiety.

I może na tej fali New Figuration, gdy kadrowałem fragmenty kobiecego ciała, tej skadrowanej, uwidaczniającej właśnie powab kobiety, byłem zapraszany do renomowanych wystaw, biennale i festiwali lat 70.

Wiele dociekań i prób – głównie na małych formatach płócien – pchało mnie, moją ciekawość, do odkryć. Do znalezienia odpowiedzi czym w istocie jest ów popęd? Cóż to takiego owo przemożne freudowskie *libido*?

Problematyka obca sztuce, nie mająca ikonografii! Znów więc dla mnie w sztuce nie jest ważne: JAK, lecz ponownie: CO? I jak zilustrować ten konkretny? Nie być prostacko wulgarnym, jak to najczęściej bywa w tzw. sztuce erotycznej, lecz po swojemu, by być zrozumianym. Ewolucyjnie.

W postępujących seriach obrazów pojawiają się syntetyczne symbole, znaki naszych odmiennych płciowości – kobiece i męskie, czytelne i proste. Wspólne rasom i kulturom.

Z już wysublimowanej takiej wersji, jakby multiplikując ten jeden motyw, rysuję schematyczny

plan-projekt (w 1973 roku) pierwszej mojej symfonii „Pory Roku”. Projekt ten zaprogramowany do realizacji na cały następny 1974 rok stanowi 48 obrazów 135x175 cm. każdy, podporządkowanych czterem częściom (porom roku). Po 12 obrazów w każdej z czterech części (jak klasyczna czteroczęściowa forma muzyczna – symfonia).

Człowiecze bowiem libido (pragnienie, seksualne pożądanie) trwa u dorosłego człowieka w ciągu całego roku – od dojrzałości po śmierć!).

W jednej z wypowiedzi Tadeusz Kantor pod koniec życia powiedział, że dla niego najbardziej twórczym był okres peerelowskiego Nakazu, gdyż mógł się wówczas sprzeciwić intelektualnie zgłębioną, oryginalną formą własną. Dokładnie tak samo uważałem i ja w latach 70. Komponując symfonie i sprzeciwiając się bezkompromisową odwagą wszelkim tendencjom i stylom lat 70. Nie umiałem jednak wtedy i nie mogłem tak zdefiniować swoją postawę – ja to wszystko tworzyłem właśnie spontanicznie, w gorączce ciekawości (natchnienia?). Spowodowanej ciekawością odkrywania nieznanego... I wreszcie, jak będzie wyglądać zrealizowana całość? W katalogu premierowej wystawy symfonii „Pory Roku” (Galeria Teatru STUDIO, 1975 r.) w swoim komentarzu dotyczącym ilustracji libido napisałem:

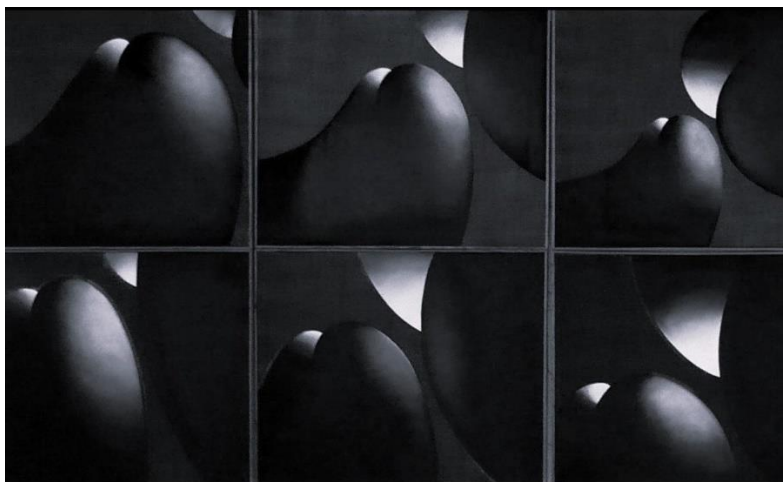
„Pory Roku” w swoim fizycznym sensie przypomina mi przygodę alpinistyczną; to samo wzgórze było podchodzone 48 razy, za każdym razem innym

zboczem, po 12 razy z każdej, z czterech stron świata”...

Pożądanie jednak (desire) – owo libido – zobrazowałem jarzeniem się obu tych form, zbliżających się do siebie.

Zobrazowałem to światłem wewnętrznym. Inaczej niż u Rembrandta, gdzie smuga światła zewnętrznego oświetla przedstawioną scenkę. Oraz inaczej niż u De Latoura, kiedy osłonięta świeca dobywa z mroku to, co przedstawia obraz.

U mnie ta idea, sens i treść tej kompozycji – wyrażona jest światłem wewnętrznym.



"wewnętrzne" światło w obrazach symfonii

Własna postawa artystyczna

Wszystko, co dotychczas w sztuce robiłem, pozostawało kompletnie obojętne tzw. oficjalnej krytyce artystycznej. I nie wiem, czy dlatego, że nie zabiegałem o względy i przyjaźń, czy może dlatego, się nie zawiązała, gdyż mnie nie dostrzegali lub ignorowali. A przecież środowisko plastyków zapraszało mnie, imiennie, do organizowanych ogólnopolskich wystaw i festiwali sztuki. I byłem tam widoczny.

Taką sytuację zawsze wolałem od kariery okupionej zobowiązaniami, zawsze jednak do czegoś tam w rodzaju artystycznej pokory i nie sprawiania zawodu. Taka sytuacja gwarantowała mi niezależność zarówno działania, myślenia, jak i wygłaszania swoich – czasem kontrowersyjnych – sądów.

Mogę powiedzieć, że nawet jestem wdzięczny tym krytykom, mogłem bowiem zachować autonomiczność twórczości i nie zawiodłem nikogo! I z tego właśnie czerpałem artystyczną satysfakcję, tym większą, że nie przyznawano mi nagród, czy stypendiów (pomimo składanych podań, formularzy itp.), ani nie dokonywano zakupów.

1992 r.

Obrazy dyplomowe

Moje obrazy dyplomowe, cała ich seria dwunastu, namalowane zostały techniką mieszaną (emulsje poliuretanowo-winyłowe i olejne), na tradycyjnych płótnach na blejtramach, głównie średnich rozmiarów (około 120-150 cm).

Malowane jakby w pośpiechu – w gorączce wizji z rozbryzgami grubych powłok farb; nonszalancko? Za dyplom otrzymałem ocenę: bardzo dobry z wyróżnieniem na Wydziale Malarstwa Akademii.

Zaraz jednak po dyplomie jadę do Anglii, gdzie pracuję na farmach, a w weekendy (z Pawłem Wołkowińskim) przebywam w Londynie – gościnnie w lokum (basement) grupy baletowej Opery Królewskiej. Dogorywał ruch hippiesowski, lansuje się brytyjskie zespoły beatowe. Samotnie wędrując napotykam, na Soho, „Hawai Club”. Wykupuję karnet, oglądam „Non Stop” solowe tańce, performance golasów, niezwykłej urody laseczki w klubie streap-tease. Ukradkiem, na małych karteczkach, z pomocą gumki, dyskretnie sobie rysuję ołówkami...

W przerwach występów przy softdrinkach rozmawiam z tymi pięknosciami. Pokazuję rysuneczki – dyskretnie! Foto jest zabronione. Niektóre, te kolorowe dziewczęta z całego świata, rozpoznają tu siebie... obdarowuję je. (Niewielką kolekcję tych rysuneków przywożę do Polski, niektóre były prezentowane na wystawach

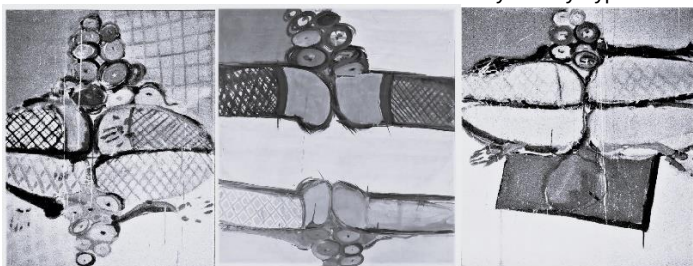
i wrocławskim Triennale Rysunku. Kilka też zostało sprzedanych – nie mam pełnej dokumentacji).

Zaalarmowany chorobą ŚP. Mamy, jakoś przed Bożym Narodzeniem, wracam do Polski. A po śmierci Mamy, gdy niebawem zmarł też Tata, powracam do estetyki malarstwa okresu dyplomowego i wspólnie, już z kolegami Witkiem i Genkiem, tworzymy grupę „Arka”. C - M - M. (Ciapało, Małkowski, Masznicz).

W pracowni Gena Małkowskiego, na Pradze, gdzie intensywnie malując, prowadzimy wielogodzinne rozmowy o nas samych, o naszych koncepcjach i zamiarach artystycznych, o sytuacji w światowej sztuce; o konceptualizmie. Uświadamiam wówczas sobie nasze całkiem odrębne osobowości, zainteresowania i światopoglądy. Różne charaktery i pragnienia, oraz poglądy polityczne. I w tym kontekście analizujemy całe nasze pokolenie oraz tę niezwykłą obfitość równoległych nam, absolwentów ASP, ukierunkowanych na twórczość artystyczną, głównie na malarstwo. Także po innych Akademiach, w całej Polsce!

Z czasem spowodowało to naszą dojrzałość do solidarnej integracji pokoleniowej. I w ogóle do tolerancji różnaitości w sztuce.

Trzy obrazy dyplomowe



Ryzykowna decyzja

Jest rok 1973. Witold Masznicz, wypróbowany kolega, wręcz przyjaciel jeszcze z lat szkolnych – liceum plastycznego we Wrocławiu – świetny rysownik, marzyciel i fantasta. Ostatnio zarzuciwszy malarstwo na płaszczyźnie, zaczął właśnie „malarstwo przestrzenne” i rzeźbiąc w drewnie, pewne elementy pokrywa barwnymi pigmentami z bezbarwną płynną woskową podłogową pastą, uzyskując inną estetykę, która sama, jak on mówił: „nawiązuje do Średniowiecza...”.

Masznicz, po kolejnej wizycie Ewy Pape w Warszawie, otrzymuje zaproszenie do nowojorskiej Fundacji Kościuszkowskiej na półroczny pobyt stypendialny. Chce, bym pojechał razem z nim, gdyż przyjaciółom byłoby różnie, tym bardziej, że ja znam język angielski!

Pani Pape będąc u mnie w pracowni (PRL! a ja miałem telefon!) zakupiła następne 2 obrazy małego formatu z 1971 roku i jeszcze rekomendowała przyjaciółce, (zamożnej Francoise, multimilionerce z Los Angeles), następny wczesny obraz. Też niewielkiego formatu z 1972 roku. Potem także Barbarze Johnson & Johnson. Środków więc na bilet do Nowego Jorku miałem wystarczająco, lecz tegoż roku – 1973, latem, zaplanowałem sobie i wykonałem projekt dojrzewającej koncepcji całej serii moich prac strukturalnych – kompozycji „symfonicznych”. Miałem

już wykonany, rysunkowy schemat budowy symfonii programowej „Pory Roku”. Dokładny plan.

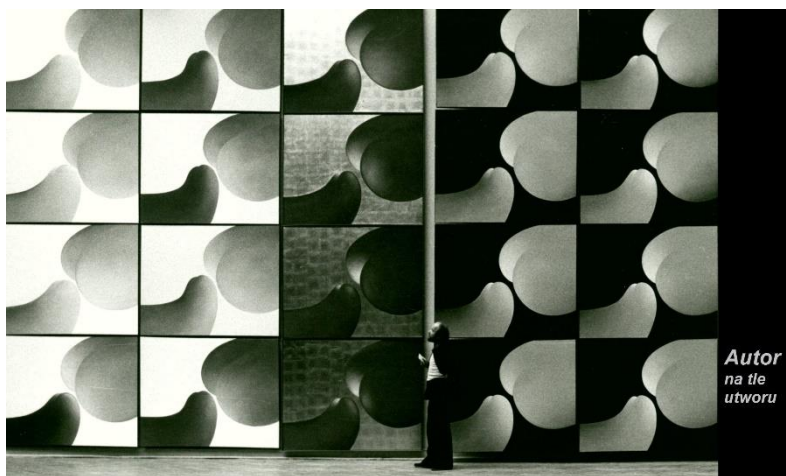
Dnia 1. stycznia 1974 r. mam rozpocząć „Zimę” (wg kalendarza astronomicznego) – symfonię Cztery Pory Roku. Rzecz monumentalną, konceptualistyczną w założeniu, lecz wykonaną. Fizycznie istniejącą. (olej ze złoconymi, na 48. płótnach).

Czterdzieści osiem obrazów dużego formatu!

Realizacja tak pomyślanej symfonii w dobie konceptualizmu zdawała się być projektem tyleż unikalnym, co wysoce ryzykownym. Podołam-li przez cały przyszły, 1974 rok w zdrowiu, z entuzjazmem, no i finansowo? Mam 32 lata, wielki zapal i potencję...

Nie wyjadę z Witoldem Maszniczem do Ameryki!

Odkładać tego nie mogę. NIE POJADE!



Fragment symfonii – kompozycji strukturalnej „Pory Roku” (1974)

Debiut indywidualny

Debiut indywidualny, taki solo, urządziłem w rok po dyplomie. Bezpośrednio; zaskoczony śmiercią obojga moich rodziców, na które to okoliczności przybyłem po półrocznym pobycie w Anglii, w grudniu 1969 roku.

W ZPAP-owskim Salonie Debiutów na Krakowskim Przedmieściu (przy UW) już po wakacjach 1970 roku, w wysokim, jednopokojowym pomieszczeniu urządziłem jakby „instalację scenograficzno-malarską”. (Nikt wówczas o takim rodzaju twórczości artystycznej nawet nie słyszał i nie wiedział, ja też...).

Metodą sztucznie obniżonego sufitu większej części galerii poprzez „zadaszenie” czarnymi kartonami ułożonymi na napiętych linkach na wysokości ok. 2 m, uzyskałem część czarną (okna także zakleiłem czernią), pozostawiając naturalną wysokość małej części, w głębi galerii (ok. 3 m) i wytapetowaną różowymi kartonami, oddzieloną od czarnej, tworząc różowy, jasno oświetlony, jakby damski buduar. Pomiedzy grobowo czarną i obniżoną częścią, a jasno oświetloną – różową – leniwie powiewała różowituko ufarbowana firanka z półprzezroczystej gazy, poruszana ukrytym elektrycznym wentylatorem. Szokujące wrażenie sprawiał ów kontrast nastrojów. Z jednej strony przygnębiający, czarny, a w głębi – świetlisty, jaskrawy, mały, intymny, niby buduar. (Eros – Tanthos).

Do tej większej, czarnej wchodziło się z bramy usytuowanej na poziomie ulicy. Tu, w czarnej przestrzeni oświetlonej smugą filmowego reflektora „szczeniaczka”, jako dwukondygnacyjne paneau, umieściłem sześć dużych rozmiarów, nowych, już podyplomowych, obrazów, namalowanych szybko, z rozbryzgami, ekspresyjnych i w ostrych, kontrastowych kolorach farb o syntetycznych spoiwach.

Reflektor w tej przestrzeni ujawniał tylko obrazy, pozostawiając czarną, niezidentyfikowaną przestrzeń. Wyjrzawszy poza paneau, przyciągała wzrok kinetyka firany i jaskrawo-różowa jasność wnętrza z jednym tylko, poziomym, dużych rozmiarów obrazem wykonanym ostrymi kolorami farb olejnych, a przywołującym (sic) – erotyczność.

Sztandarowy jeden z obrazów paneau nosił tytuł: „Zmarłym obojgu, obojgu przedwcześnie”. Nie miałem tzw. nazwiska. Nie dziwne. Z licznie zaproszonych nie przybył na wernisaż żaden krytyk artystyczny. Żywo natomiast reagowała społeczność akademicka, głównie Uniwersytetu Warszawskiego. Przed końcem wystawy zapełniona do ostatniej kartki gruba „Księga Pamiątkowa” ze zróżnicowanymi komentarzami, często bardzo ostrymi, a bezpardonowymi, zaginęła owa kilkuletnia księga pamiątkowa Salonu Debiutów. Środowisko artystów plastyków zaginięciem obciążało cenzurę (Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk). (Z adaptera rozlewała się muzyka grupy „The Nice”).

Zachowała się jedynie w studenckiej gazecie UW niewielka notka z zacytowanymi wpisami do tej książki. I pozytywną pointą o żywym reagowaniu studentów.

* * *

W ówczesnych rozważaniach o okresach godowych istniejących w przyrodzie, zastanawiał mnie zawsze stały, od dojrzałości po zgon, stały popęd naszego gatunku. I, jako już fizycznie dojrzały, z wielką estymą oglądałem/patrzyłem na kobiety.

Z zachwytem bowiem podziwiałem ich, jakże odmienną „cienką”, a ciepłą barwę głosu, cudowne kształty detali kobiecego ciała, zwłaszcza w ruchu, odmienną fizjonomię, wreszcie włosy, strój i zapach – to wszystko czyniło mi kobietę p o w a b n ą. Popularni byli egzystencjaliści; czytałem drukowane ich książki.

Dopiero z końcem liceum, właśnie u Freuda, znalazłem odpowiedź. To dzięki libido postrzegam tę cudowność! W przyszłości zajmę się tym zjawiskiem. Cudownością. Szukając zatem adekwatnej formy odpowiedzi na istnienie własnego libido błdziłem, wielokrotnie powracając do detalu w rozmaitych kadrach i kolorach wczesnych obrazów z cyklu: „Modne Modelki” (1970-1973), komponując chyba pięćset obrazów, aby ewolucyjnie dojść do ikonografii „Symfonii wizualnych”. Utworów strukturalnych, rozpoczynając od symfonii „Pory Roku” – 1974.



Autor i panneau 6 obrazów "Salon Debiutów" ZPAP; 1970



Fragment sali czarnej części ekspozycji

Pius C. – był rok 1982

Protestować przeciwko samowoli tyrana postawą bierną – zawiesić twórczość, bojkotować państwowe galerie lub manifestować przeciw tyranii wystawami przy kościołach, kategorycznie odrzucałem. Nie do przyjęcia była też modna *emigracja wewnętrzna*. Tyran przecie przejąłby się lub rozjuszył, gdyby uczynił mu to ulubieniec, ale ja? Ja! Notorycznie przez władzę ludową upokarzany, eliminowany przez cenzurę, nie dopuszczany do prawa publicznego istnienia...

„Stary, Czesław, jak cię kocham i szanuję, wstrzymaj się z urządzaniem tej wystawy. Przychodzę cię przestrzec o represjach środowiska. Wszyscy bojkotują” – powiedział Janusz Petrykowski na wieść, że przygotowuję wystawę „trzynastki” w Galerii Rzeźby, u Eweliny, na Marchlewskiego (dziś Jana Pawła II). Pierwotnie – pracownia X. Dunikowskiego. Teraz to galeria XX1.

Był marzec 1982 roku. Uważałem, że bojkot – to sprzymierzeniec nierobów i miernot, coś więc zdecydowanie nie dla mnie, a symfonia trzynastu błękitnych „Feralna” to właśnie to-coś, co godzi w stan wojenny Jaruzela! Bo ten właśnie wprowadził STAN WOJENNY trzynastego dnia grudnia 1981 roku. Symfonia nie została ukończona właśnie z powodu zamknięcia granic i niemożności prywatnego importu srebra w płatkach. Złocenia srebrem w płatkach wykonywał konserwator p. Leszek Woliński, a dostarczone

z Danii przez p. Ole Rasmussena wystarczyło tylko na pierwsze trzy obrazy dużej symfonii, oraz na całość symfonii małej, traktowanej, jako szkic do utworu.

Symfonia trzynastu błękitnych „Feralna” to przestrzenna kompozycja strukturalna dwunastu obrazów o wymiarach: 175x135 cm. każdy obraz, co po rozwieszeniu ich w przestrzeni ma wymiary: 700x405 cm., zaś trzynasty jest zbiorem tych dwunastu. Oraz (jako szkic) mała symfonia: dwanaście obrazów o wym. 40x35 cm. każdy obraz, co po rozwieszeniu ich w przestrzeni ma wymiary: 160 x 105 cm. Trzynasty natomiast jest zbiorem tych dwunastu. (vide katalog wystawy, oraz: album „Pius CIAPAŁO – malarstwo”, a także na YT etiuda filmowa pt. „Ciapało- symfonia feralna).

Uznałem, że publiczne pokazanie „Trzynastki”, właśnie jej nieukończona forma, będzie wprost oskarżeniem tyrana, a mimo woli, stanie się po latach, artystycznym pomnikiem oskarżenia Jaruzelskiego!

A, jako poparcie mej decyzji wystawienia tej monumentalnej kompozycji, zamieściłem w galerii Rzeźby motto:

„KTOŚ, KTO MA SZTUKĘ NIEMĄ,
WINIEN MILCZEĆ NIE TYLKO TERAZ.
WINIEN MILCZEĆ ZAWSZE”.

„Korzenie” 1949-1969

Talent czy uzdolnienia, które mi później wmawiano, „odkrył” kolega szkolny – „Black”. Uroczy, muskularny, bramkostrzelny albinos, który biegle rysował i rysując śmiesznie to komentował. Antoni Wasiukiewicz – Blek, Wilnianin. W V klasie „rozgrywający” ze mną; skoczny i bardzo szybki szczypior-nista. To był Wrocław.

W szkole nr 32, w jednej klasie – pamiętam doskonale kolegów, którzy później, już w życiu dorosłym, zaznaczyli się w nauce lub w sztuce. To endokrynolog, prof. Andrzej Milewicz (Słoń), Edward Kłosiński, wzięty operator filmowy, czy znany reżyser Marek Koterski, oraz wrocławski architekt Stanisław Medeksza.

W III klasie (ładnie kaligrafowałem) to ja opracowywałem redagowaną przez wychowawczynię „Szkolną Gazetkę” o wodzu Józefie Stalinie, o Odbudowie Warszawy, o „Planie 6-Letnim”, trasie „W-Z”, o Mariensztacie. No, i o moim dziś, MDM-ie, gdzie mieszkam. A także o Pstrowskim – wielkim bohaterze narodowym. Wykonywał 600% normy!

Pamiętam wierszyk – prześmiewcze epitafium na grobie Wincentego Pstrowskiego: „Tu leży Pstrowski, górnik ubogi. Wykonał normę – wyciągnął nogi”. No, i rzecz jasna, jeszcze o namiestniku radzieckim na Polskę – prezydencie PRL-u, o Bolesławie Bierucie.

(w domu rodzinnym mówiliśmy, że „Bierut, bo ruscy właśnie bierut, a nie dajut”). Ale o tym: SZA!

Tata mój bowiem, Ignacy (1900-1970), legionista marszałka J. Piłsudskiego (ciężko przeszedł skorbut stacjonując w Tyrolu), żołnierz Bitwy Warszawskiej 1920 roku, cudem wyszedłszy cało z wojny 1939-1945, skrętnie zatartłszy przeszłość, osiedlił nas w zrujnowanym (jak i Warszawa) Wrocławiu. W willowej dzielnicy, Biskupin, położonej za ZOO, Hałą Ludową i Wytwórnią Filmów – polskim Hollywood!

Spośród wielu 12-latków to mnie wybrano do kręconego właśnie filmu (jakby casting). Już nakręcono akcje ze mną w roli głównej, gdy nieoczekiwanie z wyfiokowaną mamusią pojawił się rówieśnik, kędzierzawy rudzielec z miasta Łodzi. Straciłem tę rolę i... niezłą kasę, tak potrzebną rodzinie, kiedy szalała gruźlica. Zmarł mój przyrodni starszy brat, a tacie, po odmie, nie dawano szans na przeżycie, zaś siostra, mała Marysieńka z „gruźlicą kości” przebywała w szpitalach i sanatoriach.

Moje ubytki w płucach szybko się zwapniły dzięki tranowi otrzymywanemu ze Skandynawii i Duńskiego Czerwonego Krzyża, oraz rocznej separacji w prewatorium w Sulistrowiczkach... pamiętam plakaty B.C.G. Po podstawówce zdałem konkursowy egzamin do liceum plastycznego przy ulicy Ks. Piotra Skargi 23. A tu, w starszych klasach, w dużym budynku, niewielka pięcioklasowa, elitarna szkoła, a w niej znani dzisiaj plastycy: Wojciech Krzywobłocki, Bogusław Podstolski,

Wojciech Freudenreich, jednoręki Stanisław Łazorek, Jan Geppert, Andrzej Skoczylas, Jerzy Grabowski i in. Dla nas, młodszych, oni byli już dorośli, wyrośnięci, bo zapóźnieni byli – z powodu wojny.

W I klasie, ze mną: Witold Masznicz, Geno Małkowski, Andrzej Fogiel, Grecy: Vasylis Ieropoulos i Kuba Nascov, a także Andrzej Sieragowski, i znów Edward Kłosiński!, a później i „Black” – Wasiukiewicz. Przyjęto także czterech Koreańczyków, bo tam była wojna! Doskonale pamiętam ich nazwiska, choć nie dotrwali do matury...przeniesiono ich – nie wiem dokąd. A w młodszych klasach: Felicyta Zastawny, Barbara Falender, Witek Wójcik, Józef Petruk, Marcin Lipczyński i inni... nie wszystkich już dziś pamiętam.

Miasto i wyższe uczelnie zdominowało środowisko lwowskie, a poniekąd i wileńskie. Wszędzie słyszało się charakterystyczne „*ta-joj*”. Nawet na uczelniach, w kościołach, w urzędach i szpitalach. Pośród innych Wrocławian najwięcej było Warszawiaków, trochę z Poznania i Krakowa. A więc tygiel, mieszanek wybuchowa, eksplodująca wielką podażą inicjatyw ogólnopolskich, także kulturalnych.

Licem Plastyczne to 5 nielicznych klas. Do matury (po 5-tej klasie) dochodziło tylko kilkanaście osób, które potem często wybijało się w ogólnopolskiej sztuce.

Wykładowcami byli bardzo oryginalni nauczyciele, jak Stanisław Kopystyński (dziś Patron liceum i jego założyciel), Bogdan Hofman, Władysław Szczepanik,

Henryk Krzyżanowski, Tadeusz Błochowiak, Zygmunt Woźnowski (to on na studiach pozował Wróblewskiemu do późniejszych „Rozstrzelań”), Stanisław Kukła i inni artyści plastycy, oraz świetni, bardzo charakterystyczni – prof. Chróścielewska (nauki ścisłe), Józef Krysztofik, a także wykładowcy z polibudy, uniwerku, ASP, Akademii Medycznej, Muzycznej i AWF-u.

Liceum urządzało wycieczki historyczno-edukacyjne i cykliczne tzw. „Artos’y” – spotkania ze znanymi polskimi artystami; (z Vlastimilem Hofmanem w Szklarskiej Porębie, Władysławem Hasiorem, muzykami i poetami, jak np. J. Sztaudynger i wielu in.). To im zawdzięczam przygotowanie do studiów i zaszczepienie pasji twórczej. Wychowywali nas na zajęciach ogólnokształcących i w pracowniach artystycznych w duchu i atmosferze „mitu wielkiej sztuki”. To właśnie ten czas rozwoju psychofizycznego, gdy wzrastaliśmy i budziły się hormony dojrzewania do dorosłości, także artystycznej. Im, a także i tym z warszawskiej ASP, gdzie w jednej pracowni poznałem Adama Kreczmara, Antoniego Fałata, Janusza Petrykowskiego z Lidią Serafin, Edwarda Dwurnika, Wł. Dawidowicza i Sł. Blattona, a równolegle rówieśników z innych pracowni: Jana Rylke, Janusza Duckiego, Jurrego Zielińskiego i Jana Dobkowskiego.

Wielką wdzięczność żywię dla pamięci profesora Leonarda Torwirta z toruńskiego Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika, wybitnego konserwatora dzieł sztuki, za jego naukę

o technologii malarstwa, od jego zarania. I (najpewniej)
za jego protekcję przeniesienia mnie do ASP!

Szkołę podstawową, naukę, rozpocząłem w 1949 roku
we Wrocławiu; wyższe studia w warszawskiej Akademii
Sztuk Pięknych ukończyłem w roku 1969, uzyskując na
Wydziale Malarstwa dyplom z wyróżnieniem.



Dziś: 8 czerwca 1994 roku

W tych dniach minęło 25 lat od uzyskania mego dyplomu ukończenia studiów w warszawskiej ASP na Wydziale Malarstwa. Wyróżnienie otrzymał też A.Fałat. Srebrny jubileusz wywołał szereg wspomnień i refleksji – to było tak niedawno!

Była to pracownia prof. Aleksandra Kobzdeja, a studiowali m.in. Ryszard Winiarski, Wiktor Gajda, Władysław Winiński, Jan Lis, Ryszard Gieryszewski, Lech Okołów, Maciej Modzelewski, Grażyna Gierałtowska-Kucz, Samuel Skierski, Feliks Falk, Wojciech Siódmak, Julian Henisz, a ze mną na roku (repetujący III rok) Jonasz Kofta, oraz Adam Kreczmar, Sławek Blatton, Antoni Fałat. Byli też inni, czasem bardzo kolorowi i ekstrawaganccy, a dziś nieznani z twórczości, ale bardzo mili koledzy i urocze koleżanki. Uczelnia była niewielka, elitarna i mocno snobistyczna. Paru ze znanych mi (z pracowni prof. Kobzdeja) odeszło tragicznie. Samek Skierski, entuzjasta gór i narciarstwa, zginął w szwajcarskich Alpach, gdy kwietniowa lawina przedwcześnie przeniosła go w byt wiekuisty; Adam Kreczmar, jako młody poeta kabaretowy, odszedł przed dyplomem na zawał serca, czy Jonasz Kofta, którego już na studiach wyniszczyła choroba nowotworowa. Nigdy jednak nie widziałem w „naszej” pracowni Juljana Raczek...

Pan profesor, któremu asystował Wiesław Kruczkowski, swoją osobowością znacznie odbiegał od

innych „wielkich”, głównie *Kapistów*, którzy zdominowali Akademię i nie hańbiąc się służalczą stalinowską estetyką socrealizmu, wychowywali swoich naśladowców: ejbiszów, cybisów i samborskich. (!)

Olek był otwartym, światowym artystą. Był świetnym rysownikiem i twórczym malarzem, tolerancyjnym dla studentów i zachęcającym (jak np. moją osobę, przy dyplomie) – „ostrzej, panie Piusie, ostrzej”...

Z tej, jego pracowni wyszło wiele dziś znanych: i rozmaitych osobowości twórczych.

Ś.P. Aleksandrowi Kobzdejowi – Requiescat in Pace!



Aleksander Kobzdej - "Szczelina czerwona, pozioma (detal)"

„O Poprawę” i wyławianu „na wędkę”

Nasza grupa C-M-M trwała krótko. Różne osobowości. Nie traktowaliśmy jej docelowo. I tak zresztą w wystawach grupowych prezentowaliśmy osobne trzy pokazy. A te, jako odmienne osobowości, łatwymi okazywały się na tzw. odstrzał... W naszej pracy i na spacerach nad Wisłą (jak Perypatetycy) coraz częściej, ewolucyjnie, dojrzewaliśmy do skonsolidowania warszawskich grup.

W naszych rozmowach dostrzegaliśmy swoistą odrębność od nurtów i tendencji tzw. wolnej sztuki Zachodu (Europy i USA), oraz konceptualizmu promowanego przez i władze i krytykę. Nonsensowny także zdawał się hiperrealizm i fotorealizm. Wyjątkowe uznanie przyznawałem rzeźbie Johna de Andrea; nieco większe od naturalnej wielkości jego postacie zdawały się być tworcami Pana Boga! Wystarczyłoby tchnąć bożym tchnieniem, aby ożyły! To mistrzostwo perfekcyjnej kreatywności w odróżnieniu od foto-hiperrealizmu malowanego na olbrzymich formatach z powiększonej fotografii kodakowskiego slajdu.

Sedno filozofii naszej twórczości zawarliśmy w kilku punktach w katalogu, przy okazji wystawy naszej grupy „C-M-M” w galerii BWA, w Koszalinie. Częściej zdarzały się imienne zaproszenia do wystaw i festiwali jurowanych (zaproszony autor nie podlegał selekcji komisji konkursowej). Wystawiano, co zgłosił. To szczęście częściej spotykało moją robotę; lecz

Witold i Geno trwali przy swojej estetyce, nie dali się zniechęcić, co z czasem uległo wyrównaniu.

Po wielu latach dochodzi wreszcie do spotkania się grup Arka i Aut w pracowni Janusza Petrykowskiego. Mieliśmy już po kilka wystaw, które, choć znane były programy naszych ugrupowań, wystawy nasze głównie przechodziły bez echa. Tak też zrodziła się wspólnota losu, któremu musimy zapobiec. Ten niespotykany „wysyp” chcących pracować twórczo nie miał precedensu, gdy niemal całe nasze pokolenie (głównie urodzonych podczas wojny) chce przeciwstawić się snobistycznej, a kosmopolitycznej, tej oficjalnej krytyce artystycznej.

Trafnie ujął to Antek Fałat, gdy stwierdził, że będą nas „pojedynczo wyławiać, jak na wędkę”, co zresztą niebawem nastąpiło, gdy w „Zachęcie” na Festiwalu Sztuk Pięknych w Warszawie przyznano mu Złoty Medal. ..w przekonaniu, że rozbiją naszą konsolidację?

Fałat, ośmielony złotem, zadeklarował, że po czwartej wystawie „O Poprawę”, to on się podejmie opracować dla „Zachęty” właśnie 5-tą. Wystawę już ogólnopolską. Jednak życie potoczyło się inaczej, bo zamiast wystawy mojej symfonii „Pory Roku” w Kopenhadze, to ja zorganizowałem „O Poprawę” tamże, w 1976 roku. A gdy tylko powróciły nasze prace z Danii – przyszło do nas, na mój adres, zdaniem Kingi mózgu Ruchu, zaproszenie do cyklu wystaw we Francji. Była to wspólna inicjatywa prezesa Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej w Warszawie pani Skib-

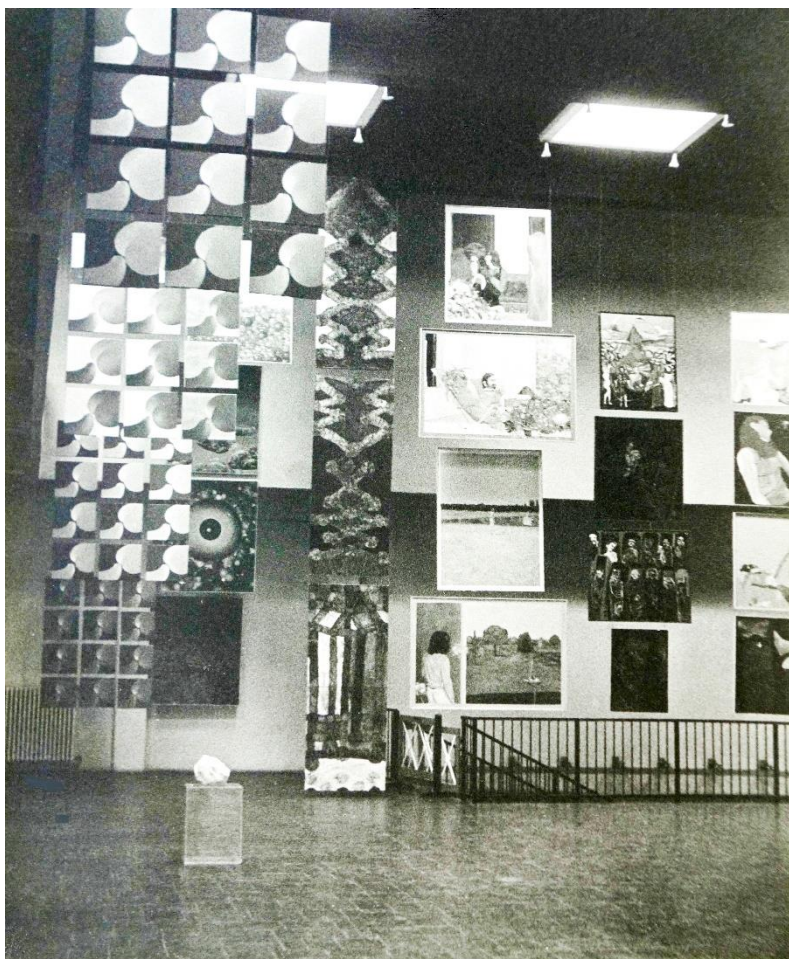
niewskiej i Prezydenta „Association France-Pologne” w Paryżu – pana Alex Krakowiak. To lata 1977 i 1978.

Na cztery pokazy Ruchu „O Poprawę” w różnych miastach Francji, każdorazowo, jako komisarze i projektanci tych wystaw, służbowo, delegowani byliśmy my obaj: Geno i ja.

Falała marzenie nie ziściło się. Po moim i Gena bardzo udanym alla „tourne po Francji” – Ruch został „rozbity”.

*Uroczysty obiad u notabla Lazurowego Wybrzeża z okazji "Rithma'78"
(w głębi- p.Witold Dynowski- Konsul PRL z Lyonu)*





Ekspozycja wystawy Ruchu "O Poprawę" we Francji; Nevers, 1977

Zamiłowanie do muzyki

Wrocławskie lata, gdym wzrastał, aż do matury w liceum plastycznym, były mi latami wzrastania samoświadomości i fizycznego, biologicznego dojrzewania. Metropolia tętniła życiem kulturalnym. Po ogólnopolskich wystawach Ziemi Odzyskanych, później „Wynalazczości i Postępu Technicznego”, wspaniałego ZOO, kilku awangardowych teatrów i opery, festiwal „Vartislavia Cantans” (oratoryjno-kantatowy festiwal muzyczny w salach koncertowych i kościołach) znacznie wpłynęły na zainteresowanie muzyką. Już w pierwszym roku liceum, razem z Andrzejem Sieragowskim należymy do sekcji muzycznej Młodzieżowego Domu Kultury. Tu otrzymujemy, on – klarnet, ja trąbkę. Tu ćwiczymy pod okiem instruktora instrumentów dętych; poznajemy nuty i takty, cały zapis muzyki. Dla siebie gramy jazz improwizowany – ze słuchu! Latem obaj malujemy w Kazimierzu, dwukrotnie

Autostopowe wakacje początku lat 60. wypełniają nam malowanie *plenerowe* i granie, także na gitarze. Między innymi do tańca w knajpce w Ostródzie. Andy gra „Petit fleur”, ja akompaniuję; przytulone pary robią nam zrzutki, bisujemy. Gram „Wiśniowy sad” i repertuar Armstronga, Andrzej już na saxtenor „Harlem Noturno” Hagena. Potem Olsztyn i Sopot... noce na plaży, lub pod namiotami obozów harcerskich. Młodzieżcze zainteresowanie i rozmiłowanie w muzyce, także tej wielkiej poważnej i osłuchanie w tzw. klasyce, już

w latach warszawskich, poakademickich, z czasem doprowadziły do prób muzycznego ujęcia własnych kompozycji malarskich. Do „orkiestracji” zestawianych ze sobą prac – barwnych kompozycji wielu obrazów w jedną strukturę. Także porównywania gamy C-dur do kolejnych kolorów widma świetlnego.

Tak ujmowane kompozycje strukturalne „współbrzmień” barwnych tworzy mi swoistą „orkiestrację” całości. Nie, jak w muzyce, trwającej w czasie, lecz oglądane w całości – naraz. Równocześnie.

Te wcześniejsze, kadrowane akty stwarzają z czasem kompozycje piktograficzne ciągłe, by redukując formę „konkretną” ciała i wprowadzając falliczną formę, doprowadzić ewolucyjnie do „Erotyku”, z których to erotyków później powstaje pierwsza, moja pionierska symfonia „Pory Roku” (1974).

Nurtujące mnie natręctwo myśli na temat naszego gatunku, rozdwójonego na dwie połowy człowieka (kobiety i mężczyzny) znajduje sens w dopiero poznanej (utopijnej) myśli Svedenborga – „dwie dusze kochających się za życia stwórzą po śmierci jednego anioła”.

Przy tej utopii trwałem wiernie cały 1974 rok, gdym uparcie, wytrwale, wykonywał tę symfonię „współbrzmień” w czterech, zróżnicowanych kolorystycznie częściach, porach roku. Albowiem człowiecze libido trwa nieustannie od dojrzałości aż po zgon.
Cały rok!

Pismaki

Nie przeczę, byłem rebeliantem. W początku lat 70-tych zmontowaliśmy z kolegami artystyczny Ruch „O Poprawę”. Chcieliśmy polską sztukę wynieść w świat, a własną rozwinąć, jak nikt nigdy gdzieindziej. Głównymi animatorami byliśmy trzej: Witold Masznicz, Geno Małkowski i ja. Dołączyli koledzy z grupy Aut (Petrykowski, Lidia Serafin, Fałat, Mitko Petrov, Baranowski). Zaatakowaliśmy status quo w polskiej sztuce. A gdy zdobywaliśmy rozgłos, także za granicą, atak na liderów rozpoczęli właśnie oni. Ale nie wszyscy, tzw. krytycy artystyczni, lecz właśnie pismaki.

(Adam Mickiewicz drwił z im podobnych – gazeciarze!).

Jedni naszą osobność w panoramie lansowanych nazwisk chcieli zohydzić w katolickiej prasie. Inny (zapewne *gentleman*) w renomowanym miesięczniku „Sztuka”.

Pan red. Radosław Piszczek w „Myśl Społeczna” (1 marca 1971 roku) recenzując wystawę malarzy Gena Małkowskiego, Witolda Masznicza i Cz. Piusa Ciapało – jednej z debiutanckich prezentacji dorobku nas (młodych jeszcze), jako grupy „Arka” – opisuje szczegółowo nasze prace tytułując recenzję słowami: „SZTUKA POWINNA BYĆ PIĘKNA, A NIE CHORA” (na czerwono). Imputuje nam trzem długo dojrzewającą taką koncepcję drogi artystycznej, bowiem na studiach szliśmy równolegle. Odsyłam do tego artykułu-nagonki.

Aby przekonać czytelników do swej racji – na żółtym tle, czarnym drukiem – cytuje wpisy „zwykłych widzów” w wyłożonej tam Księdze Pamiątkowej. To galeria ZPAP na MDM-ie. Po wypełnieniu owej księgi ktoś ją wykradł z Galerii. Wszyscyśmy podejrzewaliśmy wtedy zgodnie – Cenzura! Urząd Kontroli. Na Mysiej!

Oto część tych wpisów: *Ciapało jest obrzydliwy*”, „*Panie Ciapało! Fatalne! Obsesja*”, „*Szanowny Panie, oglądając pana prace nabrałem wstrętu do malarstwa. Kontynuowanie takiej sztuki nie ma sensu, a obrazy są obrzydliwe*”, „*Uważam, że sztuka powinna oddziaływać na każdego odbiorcę ta niestety zabija we mnie wrażliwość. Doznaję zawrotu głowy; czekam na coś innego, abym mogła zapomnieć to, co tu widziałam*”, „*Artyści! zmieńcie zawód*”, „*Oglądałam, tematyka ciekawa, jednakże wulgarnie przedstawiona. Kolory zbyt ostre, wołające o spojrzenie*”, „*Od takich artystów zachowaj nas Panie! Również panie Ministrze*”...

Chcąc uwiarygodnić swoje odczucia i powyższe wpisy do Księgi, opisuje różowe krzesło Geny Małkowskiego „ociekające krwią”, a wypełnione czerwonymi profilami ludzkich twarzy. Zaś pod reprodukcją „Piekła” z tryptyku Witolda Masznicza pt. „Niebo, Ziemia, Piekło” zamieścił tytuł „Niebo”... Pomyłka? Przypadek? Pewnikiem celowo. Ministerstwo i cenzura będzie to bacznie obserwować. Nie będzie wspierać. Ukróci!

Inny, sprawny intelektualnie i kulturalny redaktor w miesięczniku *Sztuka* „nieomylnie” rozczytuje zamierzenia animatorów Ruchu „O poprawę”. Analizuje wybrane (dobrane) nasze wypowiedzi – wówczas młodych – i konkludując nadaje tytuł swojemu artykułowi: „Zmienić hasło”. Że nie „O Poprawę”, a raczej „Więcej szmalu!”

Jakaż tendencyjna nieuczciwość, Panie Cesarski! Oczywiście, poprawienie wszystkiego wokół funkcjonowania sztuki przyniosłoby autorom dzieł poprawę warunków egzystencji. Tak to pojmowaliśmy. Ale pan Cesarski Wojciech z jednej strony widzi w Ruchu odmienne indywidualności – nie zjednoczone spójnym programem twórczym, jak to było w przeszłości – lecz naszą wspólnotę sprowadza do rzekomego żądania, nas, nas wszystkich! (jak nas ośmiesza – „genialnych”).

Parodiuje, jak w kabarecie, sytuację, którą Kinga Kawalerowicz uznała przede mną (gdy mnie pocieszała) za prawidłową. Prawidłową, gdyby wokół twórczości artystycznej „zakręcił się” biznes. Tak to powinno być. A Cesarski to sparodiował wykpiwając idee. Nasze, młodzieńcze. Zacytuje:

„Pewnego ranka, po nocy wytężonej pracy, Czesław Pius Ciapało skończył wreszcie nowy cykl obrazów przedstawiających jędrne i krągłe biusty dziewczęce (ulubiony, choć może nieco zbyt obsesyjny temat tego artysty) zatytułowany „Moja erotyczna fuga kosmiczna” (artysta ma wyraźną predylekcję do tytułów muzycznych).

Ze swojej pracowni na MDM dzwoni do Dyrektora Centrum Informacji i Dokumentacji Artystycznej Wincentego Miodońskiego i informuje go o tym fakcie.

Dyrektor wysyła natychmiast do pracowni Ciapały ekipę sprawnych fotografów i dokumentalistów, którzy fotografują i opisują nowy cykl Ciapały. Slajdy i dokumentacja zostają umieszczone w odpowiedniej szafce w CIDA, a sformułowany odpowiednio komunikat zostaje przesłany telexem do światowego centrum informacji artystycznej w Sztokholmie oraz do wszystkich możliwych publikatorów w kraju.

Warszawski „Express Wieczorny” już tego samego dnia donosi na pierwszej stronie o nowym cyklu Ciapały. Redaktorzy innych gazet gryzą ze zdenerwowania palce, bo będą mogli donieść o tym dopiero następnego dnia („Ach, ten wstrętny ”Express”).

Wieczorem Czesław udziela pierwszych wywiadów w dzienniku radia i TV. Tymczasem nowy cykl przewieziony zostaje do Muzeum Sztuki Nowoczesnej i zajmuje miejsce na stosownej ścianie. Po kilku dniach otwarta zostaje wystawa, na którą publiczność wali drzwiami i oknami, tak, że muszą interweniować siły porządkowe, a ekspozycja na powszechne żądanie przedłużona zostaje o dwa tygodnie.

Zwiedzający masowo wykupują reprodukcje owego cyklu. W licznych magazynach poświęconych sztuce i tygodnikach społeczno-kulturalnych ukazują się recenzje, omówienia i błyskotliwe eseje poświęcone dziełu.

W radio i TV, na specjalnych wieczorach w domach kultury i klubach popularyzatorzy niestrudzenie wyjaśniają sens i wartość „Fugi”.

Z pras drukarskich schodzi właśnie monografia o Czesławie, gdy w Muzeum rozpoczyna się aukcja, na

którą przybyli marszandzi zza granicy oraz osoby prywatne oraz przedstawiciele instytucji z kraju. Po zacieklej licytacji wygrywa niesympatyczny i zdecydowany na wszystko dyrektor Museum of Art z Nowego Jorku. Rozczarowanym i wciekłym odbiorcom krajowym Czesław obiecuje, że następny cykl sprzeda „na kraj”, co oczywiście z kolei wywołuje niezadowolenie tych z zagranicy. Następnego dnia „Express Wieczorny” donosi w piętrowym tytule „Geno nadal w świetnej formie”. (Ach, ten wstrętny Express!).
Tyle Cesarski. Redaktor Wojciech Cesarski.

* * *

O, Boże, jakież On sprawny!

Gdybyż tyle zaangażowania zainwestował wówczas w poparcie Ruchu „O Poprawę”, prawdopodobnie pomógłby wydobyć nas z bagna niemożności, niechęci i kompleksu niższości. Być może dopomógłby wynieść polską sztukę na arenę międzynarodową.

Ale ten wybrał partyjną robotę rozbijając jedność ideowego Ruchu. Młodych zapaleńców....Szkoda!

Ale, Szanowny, użyłem „dzieła”, bo każdy wytwór rąk ludzkich jest dziełem. Nie napisałem: „arcydziełem”...

Byłem rebeliantem. Należy się potępienie i wykpiwanie.

Niemiec i Niemcy

To musiał być 1943-ci, może koniec roku, bo zima. Mam jakieś półtora roku. Choruję bardzo ciężko... taty nie ma – gdzieś walczy?

Zrozpaczona mama, przez księdza proboszcza katolickiego kościoła w Hajnówce (gdzie mieszkaliśmy prowadząc sklep), trafia umówiona do wojskowego lekarza, Niemca. Ten (opowiadała mi to mama chyba dwukrotnie) widząc rozpaloną główkę, czerwoną, buchającą żarem, niebieskie oczka i białe, blond włoski, podobno dogłębnie wzruszony (w swoim domu, w Rzeszy dwóch takich pozostawił skierowany na front) podarowuje mamie kilka małych papierowych zawiniątek. Z jakimś białym proszkiem. Dwa, trzy razy dziennie na dobę (po jedzeniu). A kiedy mama przyszła za tydzień z jakimś czymś dziękczynnym z naszego sklepu, hitlerowiec(!), w mundurze szwabskim, ze swastyką instruuje, że trzeba go (czyli mnie) co roku wozić do „Ost See”, aby tam przebywał i oddychał tamtym powietrzem. Dodał, że całe życie chłopiec będzie miał zaflegmione płuca i będzie kaszlał. Ale z tym można żyć... jakoś tak mi to powtórzyła mama.

Istotnie, ciągle, odkąd pamiętam, stale pochrząkuję, pokasłuję. Często też łapię infekcje.

Teraz właśnie, gdy znów bezgorączkowo mam „grypę”, analizuję to wszystko. Rodzice już dawno nie żyją. Ja leżąc w łóżku w domu w Warszawie, jak w filmie, odtwarzam opowieść mamy i rady szwab-

skiego doktora. Domyślał się, że pewnie podał mi jakiś lek alla Biseptol, czyli sulfonamid. Antybiotyków, jak penicylina, jeszcze wtedy nie znano, ale jakiś właśnie sulfonamid. Niemiecki lekarz na froncie musiał to mieć!

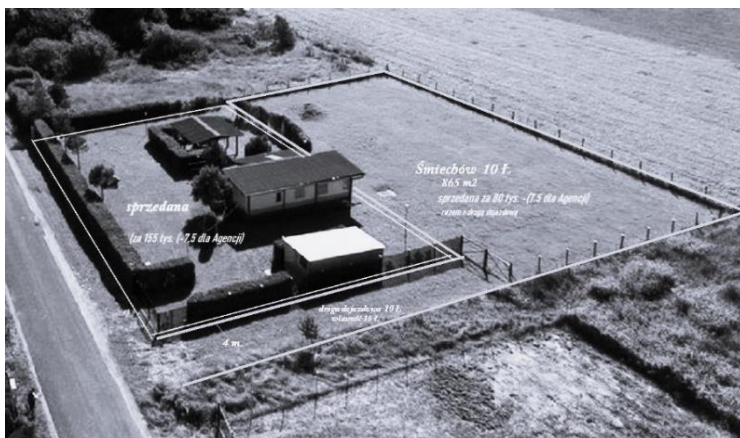
O! teraz właśnie przypomniałem sobie, że jeszcze jako mały chłopczyk, gdy pierwszy raz widziałem szczekającego pieska – byłem przekonany, że ten piesek kaszle; szczekanie psa słyszane po raz pierwszy w życiu kojarzyło mi się z kaszlem. Pamiętam to doskonale! Psy kaszłą!

To pewnie stosując się do wskazań lekarza – gdyśmy „wiali” z Hajnówki (zbyt blisko sowieckiej granicy), po wojnie, czasowo mieszkaliśmy w Gdyni. Tata przed wojną, jeszcze jako kawaler, budowlaniec z zawodu, właśnie współbudował Gdynię – nowe miasto portowe, nie zależne od „półpolskiego” wówczas Gdańska!

Niemcy to okrucieństwo i zło. I ich faszystowski reżim. Zniszczenia, bombardowania (pamiętam nalot w Hajnówce, jako prawie dwulatek; uciekaliśmy do schronu). Niemcy rozstrzeliwali nas, Polaków. Wyławiali Żydów. Wykopywali doły śmierci. Tacy byli Niemcy – rzekoma rasa (zmotoryzowanych, zmechanizowanych) „panów”.

A ten? Lekarz z Hajnówki? Ten pewnie nikogo by nie zabił. To był „dobry” Niemiec, pewnikiem z Bawarii – katolik?

A dziś, gdy jest rok 2009, jestem na swojej działce nad morzem, w Śmiechowie. Tu wcześniej zaprosił mnie „brat astralny” Andrzej Sieragowski (architekt, od stanu wojennego mieszka w Austrii). Ten sam, szczerzy kompan lat licealnych PLSP we Wrocławiu. On to, po latach, jako pierwszy zakupił grunt w Śmiechowie, we wsi opodal Gąsek (gmina Będzino, koszalińskie). W następnym roku dwie działki nabyłem i ja. Tu będę wdychał powietrze „Ost See”... Oczywiście stale pokaszuję, ciągle „odflegmiam” oskrzela i płuca. Tak, mama mi to mówiła. Miałem zdiagnozowane przez Szwaba zapalenie płuc i zakażenie oskrzeli. A potem ciągle chory, aż do wyleczenia i znów – zapalenie oskrzeli i zakażenie płuc. Ale chrząkając i kaszląc ogrodziłem z Andy’em obie działki, postawiłem domek z małą architekturą... i z rodziną wakacjujemy tam, abym oddychał morskim powietrzem „Ost See”...



moje działki nad morzem, gdzie oddycham powietrzem "Ost See"

Dziwne

Jakże dziwnym dla mnie jest to, że ja sam, sam sobie się dziwię...

Ponad 25 lat pracy pedagogicznej ze studentami, wielokrotnie doświadczałem tej zależności: uzdolnieni artystycznie mają często poważny kłopot z wysławianiem się. Nawet ci, bardzo uzdolnieni, inteligentni zda się i mający rozległą wiedzę, bardzo często nie potrafili wypowiedzieć tego, o czym wiedzą.

Oczywistym jest istnienie kompensacji – jednego w nadmiarze, innego brak. A będąc uzdolnionymi artystycznie, tego swojego „odczuwania” nie mogą wyartykułować. Percepcja faktów, czy zjawisk znacznie przerasta zdolność werbalizowania ich myśli, właśnie myśli. Brak słów. Męczą się, niejednokrotnie dukają, zacinają się, czerwienieją, nerwowo przestępują z nogi na nogę. Jakoś nerwowo gestykulują chcąc niewypowiedziane wyrazić mową ciała? Język werbalny jest im zbyt ubogi, nie adekwatny do natłoku trafnych myśli, nawet, gdy znają języki obce. I to pomimo odczytania, dobrej pamięci i wiedzy. Ale rysunek, ich zdolność bezbłędnej kompozycji ujęcia danego przedmiotu czy zjawiska, trafność definicji, zda się być podświadomą, automatyczną. A użyta kolorystyka upewnia mnie w słuszności tej częstej zależności. Bywają wyjątki i one właśnie zaświadczały o tej regule.

Ale tymczasem ja. Śpię i wiem, że śpiąc – śnię. Oto nicość: próżna przestrzeń, żaden pejzaż z horyzontem, a ja idę...nie, nie idę, ja „sunę” nad jakimś pustynnym podłożem. I, jak bym patrzył „okiem kamery” – pojawia się przede mną, jak przed Mojżeszem, krzew gorejący. Bez słów. Wiem, to Bóg!... W myślach – bez słów – pytam: Panie, po tylu latach rodzinie mi nie udanych, nieoczekiwanie dajesz mi! I stawiasz przede mną, na mojej drodze, tak piękną i dużo młodszą kobietę. To w myślach, o Doruni. A głos krzewu, którego jęzory płomieni pojawiają się i zanikają, jakby moimi słowy – ten głos (wyraźnie męski głos) rzecze: jej całą cudowność, jej urodę, ty ujrzysz w przyszłym bycie... A teraz masz ją taką, jaką jest i się męcz.

Pius Ciapało i Dorota Wielkosielec, 1985 r.



Powrót z Siedlec

Piękny, wczesnojesienny dzień; popołudnie.
Powracam Toyotą z obrad Senatu Akademii Podlaskiej w Siedlcach do Warszawy, gdzie mieszkam. Biała koszula, krawat, aż naraz: „Stop”! siu-siu! Czuję: mam „pełny bak”... nie dojadę do domu!...
Zaraz przed Kałuszyńem, po lewej, za rozwidleniem „na Węgrów”, jest las...

Staję na poboczu i znikam w gęstwinie. Pod starym, rozłożystym dębem, rozpinam zamek spodni, by ulżyć ciśnieniu i (pardon) sikam, sikam i sikam; ale cóż to? Tu borowik i tam, dalej, jeszcze jeden. I tam, pod sosną następne i następne... zdrowe, jędrne beczułkowate, bielutkie trzonki i matowe brązowe kapelusze! Schylam się po jeszcze następne i upycham w rękawy przeciwdeszczowej kurteczki. A dalej, pod innym dębem, jeszcze trzy młode; bielą się w poszyciu lasu! Zebrawszy je, prostuję się spod konarów... i jak nie palnę głową o ten najgrubszy, aż mi pociemniało w oczach i jaskrawo rozbłyły gwiazdy!



Obolały, otwieram oczy: kołdra leży na podłodze, ja obok... macam prześcieradło – suche ! Zdążyłem.

Warszawska galeria „STUDIO”, a krakowska „Pi”

W Galerii Teatru STUDIO' z okazji Dnia Teatru 1975 r. pan dyrektor Szajna otwiera premierowy pokaz mojej symfonii „Pory Roku”. Na xero wydrukowałem (około dwa tysiące) czarno-biały, zaproszeniowy folderokatalog. Widząc moje xerowanie nieznajomy deklaruje wydrukować na typo, za stówę! (w drukarni, gdzie pracuje – cały nakład!). Galeria dziś jest dwukondygnacyjna. Wówczas mogła idealnie pomieścić wym. 5.40x21.00 m! Na wernisażu jest rojno-tłoczno, bo z Anią S. i Basią G. rozsyłamy i rozdajemy folderki; cały nakład, znajomym i redakcjom. Pośród tłumu Masza non stop fotografuje. Józik bierze ją na barana, aby objęła, co ciekawszego. Po przemówieniach Dobkowski wie; „na pocz. symfonii nie wiedziałeś jak, ale pod koniec „Zimy” wyklarowałeś formę”...– Jasne! Niewiele redakcji odnotowało wystawę. Krótko to ujął red. Jerzy Madeyski w krakowskim „Życiu Literackim”.

Objąwszy kierownictwo galerii Andrzej Ekwiński zawiadamia mnie o demontażu i zakupie jednego obrazu do Kolekcji. Odmawiam, nie zdekompletuję...

Do dziś kolejne kierownictwo Galerii ukrywa fakt premierowego pokazu symfonii „Pory Roku” tamże, w 1975 r. Why? Dlaczego? Masza z Józikiem nocują u mnie. Dociekają, jak zrobić ich galerię „Pi” sławną, jak np. Boguckich. Wybierają naszą grupę „C-M-M”. Na start „Pi”. Mówią: zakipi w Krakowie, że otwierają Warszawiaki! I tak było. Zachodzę do WC, na półpiętrze; to XIX w. czynszówka, na Kraszewskiego. Ściany pokryte afiszami, głównie konceptualistów. Na jednym odciskam swoją pieczętę z adresem i dopisuję: „Pierwsza moja wystawa w miejscu niezależnym... Po wystawieniu: schowałem!”

Nigdy potem nie bywałem w galerii „Pi”, choć Ania jest siostrą Maszki. A ta stale szukając sposobu zrobienia oszałamiającej kariery nawet nie podejmuje ukończenia studiów polonistycznych.



Od lewej: literat Jan hr. Potocki (przybyły z Anglii) oraz PP. Sochowice (rodzice Maszy) i PP. Ramusowie (foto: Maria Anna Potocka).



Naukowy tytuł

Ktoś, kto dla mnie coś znaczy – wcale nie musi posiadać tzw. „tytułu”. Chylę czoło przed pięknymi umysłami, które mają własną godność podnosząc do wielkiej rangi człowieczeństwa.

Kreatywnym myśleniem wyróżniało się w świecie nauki, sztuki, techniki, a także polityki, wielu naszych wspaniałych rodaków; konstruktorów i strategów. I nie ważnym dla mnie dziś jest to, czy była to kobieta, czy mężczyzna.

Nawet wstydzę się, że na uczelni byłem profesorem. Ale taki był wymóg pracy w szkolnictwie. Awans i odpowiednie minimum kadrowe tzw. samodzielnych pracowników naukowych. Aby był kierunek studiów, aby mógł istnieć wydział...

Jan Głuszak musiał opuścić krakowską uczelnię. Był ekstrawaganckim wizjonerem. Będąc architektem projektował „utopijne” (zdaniem akademików) miasta przyszłości – budowane ponad chmurami. Ponad dziesięć kilometrów. Chciał oderwać ludzkość od kaprysów aury skutkującej czasem kataklizmami. W wieczne słońce. Myśl tę (jakże awangardową w skali świata) obśmiewano, ale jego rysunki mnie zachwyciły od pierwszego kontaktu z jego myślą. Uważał bowiem, że to myśl twórcza projektanta – futurologa. A zapóźniona technika winna za tą myślą podążyć, a nie tkwić dreptając w miejscu z powodów czysto merkantylnych!

Innym „cudakiem” dla archeologów jest pewien geolog, Polak, który udowadnia, że przed Egiptem, Grecją i Rzymem, jeszcze przed potopem, istniała na Ziemi cywilizacja techniczna. Pozostało po niej, po potopie, wiele artefaktów w kamiennej architekturze, tej monumentalnej, bo inne zmyła 300-metrowa fala, którą wywołał grad meteorytów z kosmosu. Na szczęście tym umysłom i im podobnym nie grozi los, jaki spotkał Giordano Bruno.

W dobie internetu i natychmiastowej komunikacji z całym światem, może się zrodzić wiele innych, niemożliwych dzisiaj twórczych idei. Ale przyszłość zbliża się bardzo szybko i na przeludnionej planecie zrodzi się technika i powstaną inne, nowe rodzaje energii, realizując – dzisiaj dla nas – całkowicie niemożliwe.

* * *

Skąd „Kopenhaga”

Wakacje 1974 roku. W CBWA „Zachęta” trwa wystawa „Festiwal Sztuk Pięknych 74”. Stoję przed własnym obrazem „Opus L-74; portret pani Zofii L.” (olej/plótno).

To wielki biust i nic więcej; kadr na jasno niebieskim tle.

Is not so bad! – słyszę za plecami – it’s a portrait?

Yes, odpowiadam i nawiązuje się rozmowa. To pan Ole Rasmussen, z Glostrup, koło Kopenhagi. Przy kawie rozmawiamy o wszystkim. Niedziela. W swojej pracowni zainteresowanemu pokazuję 12 obrazów „Zimy” i kilka obrazów „Lata” z rozpoczętej właśnie symfonii „Pory Roku”. Ciekawy, „wyssał” ze mnie wszystkie info na temat

konceptualistycznej realizacji – na cały ten, 1974 rok.

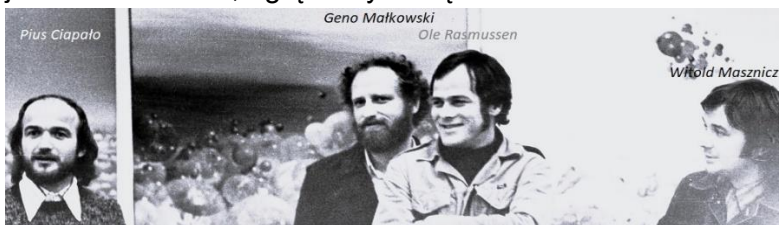
Ole prowadzi zajęcia w szkole z teenager – młodzieżą. Odjechawszy zapisał mój telefon i już po wakacjach, dzwoni, że właśnie przyjedzie za dwa tygodnie, w sobotę.

Z Kimem Burhave przywieźli owoce, kawy i czekolady.

A także jeansy! Powiada, że muszę z sukcesem ukończyć dzieło: 48 obrazów 135x175 cm. każdy. Toż to razem 120 m² powierzchni! Przywiezie złoto w płatkach na 4 obrazy września! Zaopatruje mnie, jak może. Wierzy w sukces, ustala w Kopenhadze datę premiery. Podaruję dzieło Miastu, oni postawią stały pawilon; a ja uzyskam całość

z ciągłej sprzedaży albumów, ink-druków i plakatów oraz profity ze sprzedaży biletów. Będę bogatszy od Hundertwassera, z Austrii, który ma tam właśnie wystawę. Wielokrotnie odwiedzając przywozi mi coś „ze świata”, bo tu mamy biedę! Komuna! Innym razem z grafikiem, Prebenem Hansen. Nocują u mnie. Malowanie postępuje planowo; przychodzi list z Kopenhagi: Związek Artystów Duńskich, z imiennym zaproszeniem do Galerii St. Nikolai Kirke.

Kompletną symfonię pokazuję w Galerii Studio w PKiN kwiecień/maj '75 r. Dwujęzyczny katalog posyłam do Danii. Jednego razu w mojej pracowni Ole poznaje Małkowskiego, Masznicza i Kingę Kawalerowicz (z Korolkiewiczem). To entuzjaści, jakich nie zna w Danii! Innym razem, gdy znów jest w Warszawie, ogląda wystawę malarstwa nas trzech.



Czerwiec 1976 roku. Na zaproszenie p. Ole K. Rasmssena płynę promem do Danii, a w Kopenhadze zamieszkuję z Anną u poznanych w Polsce Claudii i Johna Jensen. Mamy cały retro-strych za pracownię. Tu przez pół roku maluję „Minireplikę” – ogromnej symfonii „Pory Roku”.

Cztery części, czyli: 48 obrazów 35x40 cm. każdy, tj. 140x480 cm. Złocenia. Ramiaki-blejtramy „majsterkuję” z listew, w warsztacie (piły, frezarki) w szkole pana Olego, podczas wakacji. Oprócz „Minirepliki” maluję 2 płótna 130x170 cm. w związku z wykonywaną w Warszawie symfonią Nr 3 – „Zieloną” (1976-78).

I tutaj stchórzyłem – bojąc się zbyt wczesnej „kariery”!...

Oficjalnie zamieniam pokaz „Pór Roku” na wystawę kolegów – formacji Ruch „O Poprawę”. Ostatecznie, bardzo rozczarowany Ole akceptuje mój wybór. Jest zgoda duńskiego Związku. Będzie transport z futrami z Moskwy, odbiorą po drodze prace kolegów – będzie: „O Poprawę” w Kopenhadze, w Galerii „St. Nikolai Kirke”.

Przed Domem Plastyka W-wa za zgodą ZPAP, zaproszeni koledzy pakują TIR-a, a ja z Małkowskim w początku listopada '76 mkniemy PKP do St. Nikolai Kirke, aby wyeksponować to, co zdaniem Duńczyków nie da się pomieścić. W naszym stylu staramy się pokazać wiele wystaw (jakby indywidualnych) w jednej ekspozycji. Rozmieszczamy prace każdego autora w pionowych ciągach, w przestrzeni, uzyskując jakby spektakl wizualny.

Takich prezentacji nikt nie widział. Oglądający chodząc, dostają zmieniające się kąty widzenia, więc powracają...

Jest sukces! Na wernisaż osobiście zaprosiłem J.K.Mość Królową Małgorzatę...Ambasador PRL p.St. Pichla podaje nam skrzynki Sovietskoje Igristoje. Jest bardzo uroczyście. Jest radio i TV. Cała prasa pisze o wystawie, na otwarciu której przemówienia tłumaczy koleżanka Bieńkowskiego i Korolkiewiczza pani Anna Mertz, która zmuszona była z rodzicami opuścić Polskę po wydarzeniach 1968 roku.

Także Teodor Bok, rzeźbiarz oraz poznana Magda Forbert i wiele innych osób w Danii i Szwecji tęskniących za krajem ich młodości, gdy wzrastali pośród fantastycznych ludzi.

A mój warszawski monument – symfonia „Pory Roku”
od 1974 r. „pleśnieje” u mnie, na strychu, Warszawie.



Migawki ekspozycji wystawy „O Poprawę” – Kopenhaga 1976.

jeden z ciekawszych d o n o s ó w ... wyżej donosić za czasu P.R.L-u już nie można było

Całkowne Pięćdziesiąt

GI... kr...

Do Ob. Kierownika

Wydziału Kultury Komitetu Centralnego P.Z.P.R.

w miejscu

Szanowny Panie!

Przykro mi, że zwracam się w tak drażliwej sprawie, ale naradzałem się z 3-ma kolegami plastykami, czołowymi twórcami starszego pokolenia i doszedłem do wniosku, że nie można przejść obojętnie nad sprawą, która poniżej opisuję.-

- W dużej, parterowej sali wystawowej "Domu Artysty Plastyka", przy ul. Mazowieckiej 11A trwa obecnie wystawa art. malarza CIAPALY, członka prezydium Zarządu Okręgu Warszawskiego Z.P.A.P. - Wszystkie eksponaty /nieraz b. dużych rozmiarów/ przedstawiają wypiętą kobiecą pupę, a naprzeciwko sterczącego członka męskiego. Wydaje nam się, że "swoboda twórcza" nie ma prawa przekraczać elementarnych zasad przyzwoitości. Prywatnie, w domu, może ob. Ciapała malować, jak chce i pokazywać prywatnie komu chce swoje "dzieła" - ale występować z nimi jako z wystawą publicznie... to budzi co najmniej zastrzeżenia.-

-- Muszą być jakieś granice plągowania Sztuki i bimbania sobie z ludzi zwiędzających wystawy.-

- Powyższe dzieje się pod auspicjami Z.P.A.P. i ich "komisji artystycznej"... rzutuje więc tym samym na etykę nas wszystkich artystów plastyków... NEGATYWNIE.
- Czy tak wolno?-

- Dalecy jesteśmy od zaściankowej dulszczyzny, ale....- ? -

- Zresztą prosimy Wydział Kultury K.C. P.Z.P.R. o zwiedzenie tej wystawy, która nosi pompatyczny tytuł "Symfonia Niekomercyjna, Nr III, Zielona".-

- Wyrażamy ubolewanie... że to wszystko dzieje się za społeczne pieniądze i jest malowane farbami, sprowadzanymi z Anglii i Holandii za DEMIZY.-

Ze szczerym szacunkiem,

Janusz Paweł Janowski

/artysta-malarz - rencista/

P.S.

Kolejcy, z którymi o całej sprawie rozmawiałem, to są między innymi: Aleksander SOLTAN /malarz i grafik/ i KONIECZNY /rzeźbiarz/. Nie wymieniam młodszych...-

Komitet Centralny PZPR przesłał drogą urzędową DONOS pana Janowskiego do Ministra Kultury Minister Kultury - do Departamentu Plastyki, a Departament Plastyki - do Zarządu Głównego Z.P.A.P. a Zarząd Główny Z.P.A.P. - do Zarządu Okręgu Warszawskiego. Wreszcie Prezes OW odpowiedział wszystkim ...

MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI

P-I-0490-Sekr-Dyr-10-79

L. d. Dep. Plastyki

Warszawa, dn. 10 - VIII - 19 79,
ul. Krakowskie Przedmieście 13/17
00-930 Warszawa
Skrytka pocztowa 104
Tel. 26-62-61

Obywatel
Janusz Kaczmarek
Prezes Zarządu Głównego
Związku Polskich Artystów Plastyków
W a r s z a w a

W załączeniu przesyłam kopię pisma art. malarza
Janusza Janowskiego z prośbą o wyjaśnienie poruszanej w nim
sprawy i zajęcie stanowiska.

Jan

Związek Polskich Artystów Plastyków

Warszawa, ul. Polna 2 Skrz. telogr. „ZAP”
Konto bankowe NBP Warszawa IV O/N Nr 1551-0-47279
PKO Warszawa Nr 1-9-130762

Tel.: Centrala 27-54-11, 27-54-12
Dział Prasowy 27-73-00
Dział Zarządzający 27-73-27
Sekcja: Grafiki i Rzeźby 27-73-19
— Rzeźbiarstwa 27-60-23
— Sztuki 27-75-16
Dział Finansowo-Księg. 21-51-43

Warszawa, dn. 22.VIII. 1979 r.

Obywatel
Jan Karczewski
Prezes Zarządu Okręgu ZPAP
W a r s z a w a

adm. ośr. / 20 VIII 79

14 VIII 79 / 1580

Zarząd Główny ZPAP przesyła w załączeniu
kopię pisma art. malarza Janusza Pawła Janowskiego
skierowanego do nas z Ministerstwa Kultury i Sztuki.
Prosimy o zapoznanie się z jego treścią i wyjaśnienie
poruszanej w nim sprawy.

Załączniki: 1

Sekretarz Zarządu Głównego
Związku Polskich Artystów Plastyków
Egy
Janusz Egymsont

Zarząd Główny
Związku Polskich Artystów
Plastyków

W a r s z a w a

ul. Polna 2

Warszawa, dnia 18 września 1979 r.
L.dz. 1743/OW/79

Zarząd Okręgu Warszawskiego Związku Polskich Artystów
Plastyków na posiedzeniu w dniu 7.09.br. zapoznał się
z przesłanym nam odpisem listu Ob. Janusza Pawła Jano-
wskiego w sprawie wystawy artysty malarza kol.Czesław
Ciepało.

Stwierdzamy, że omawiana wystawa została zorganizowana
w ramach zatwierdzonego przez ZOW ZPAP planu wystaw w
Domu Artysty Plastyka w Warszawie i spotkała się z po-
zytywną oceną środowiska artystycznego.

Shanując dobre prawo każdego zwiedzającego nasze wystawy
do własnego sądu o dziele sztuki - nie możemy solidary-
zować się z treścią, formą i intencją pisma Ob. Janusza
Pawła Janowskiego.

Premiemy podkreślić, że kol.Czesław Ciepało jest cenio-
nym i nagradzanym twórcą młodego pokolenia, prace swoje
pokazywał na wielu wystawach indywidualnych oraz bież
udział w wystawach zbiorowych w kraju i za granicą.
Jednocześnie kol.Czesław Ciepało jako członek Prezydium
ZOW jest aktywnym działaczem ZPAP, opiekunem Koła Absol-
wentów przy Okręgu Warszawskim.

Omawiana wystawa została wysoko oceniona zarówno przez
zwiedzających, jak i środowisko. Po raz pierwszy też ZOW
spotyka się z tego rodzaju odczynną reakcją na orga-
nizowaną przez nas wystawę.

PRZESŁA
Okręgu Warszawskiego
Związku Polskich Artystów Plastyków
Jan Karczewski

"Myśl o samobójstwie
jest wielką pociechą
dzięki niej niejedną
noc przepędza się dobrze"
Nietzsche

Czesiu! - Kochany
wszystkiego najlepszego w
Nowym /::1977/ Roku oraz
Wesołych Świąt
Życzy Ci
EWA / KINGA)
oraz wiceprezes A.Skeczył

WIELMOŻNY PAN

CZESŁAW PIUS CIAPAŁO

WARSZAWA

PLAC KONSTYTUCJI

serdeczne życzenia od Kingi Kawalerowicz
i Łukasza Korolkiewicza

No comment